

# POLSKA WALCZĄCA

Biblioteka  
UMCS  
Lublin

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 13-go października 1945r.

Rok VII. Nr. 40

# KONSPIRACJA I POWSTANIE

Na temat Powstania Warszawskiego od roku mówi się i pisze dużo. Jako dowódca całości walczących oddziałów chcę ze swej strony zwrócić uwagę na te zagadnienia, które do tej pory nie były w sposób dostateczny uwypuklone, jak wysiłki organizacyjne, które doprowadziły liczebność oddziałów walczących do cyfry 40.000, zmiany zachodzące w psychice żołnierza krajowego oraz nieprzemijające wartości, które dla Polski wniosła walka powstańcza w Warszawie.

### PRACA ORGANIZACYJNA

Organizacja oddziałów rozpoczęła się na dobre w lecie 1940. Do tego czasu były zorganizowane dowództwa i sztaby, przy czym dbano pilnie, aby do pracy konspiracyjnej wprowadzać element najlepszy, nieszukający w żadnej formie współzycia z Niemcami.

Roczny pobyt Niemców na naszych ziemiach był dość długim okresem czasu, by stwierdzić, kto z naszych mieszkańców miast i wsi szuka sposobu współzycia z okupantem, a kto odnosi się do niego w sposób nieprzejednany. Po roku obserwowania porządku niemieckiego poznawali wszyscy Niemców z bliska, ich jawną albo obłudnie maskowaną nienawiść do wszystkiego co polskie, ich tendencje do zniszczenia naszego narodu widoczne pomimo wszelkich chwytów propagandowych. Nie dziwnego, że budziła się nienawiść w polskich masach.

Organizacja oddziałów opierała się na organizacji piątek, łączonych w drużyny. Pluton, mający początkowo różną liczbę piątek, był w organizacji oddziałem podstawowym. Kraj terytorialnie był podzielony na okręgi, a te na obwody/powiaty/. Tak w obwodach, jak i w okręgu początkowo zorganizowane wojsko konspiracyjne liczone na plutony. Weryfikowanie następowało przez osobistą znajomość ludzi i polegało na wzajemnym zaufaniu. Zbierało się wolno było jedynie pięciu ludziom.

W okręgu warszawskim, obejmującym Warszawę miasto i powiat warszawski było obwodów wojskowych 7, a każdy obwód w 1940 r. liczył zaledwie kilka plutonów. Nie było tygodnia jednak, by nie pozyskiwano nowych dowódców plutonów, a ci z kolei brali się do pracy organizacyjnej. W miarę gdy liczba plutonów wzrastała a oficerowie organizacyjni obwodów nie byli w stanie prowadzić odpraw ze wszystkimi, wyłoniła się potrzeba podziału obwodu na rejon, a następnie na zgrupowania plutonów. Nastąpiło to w r. 1942.

Poprzedzając tym naszkicowanie w przekonaniu, że organizacja oddziałów powstańczych doczeka się szczegółowego opracowania.

### SZKOLENIE W PODZIEMIACH

Każda organizacja jest funkcją potrzeb. To też po ustaleniu w ciągu 1940 r. jakich ilości żołnierza potrzeba do zniszczenia sił npla rozmieszczonych na terenie okręgu, wyszła wyraźnie twarda konieczność szybkiego organizowania się, zwłaszcza, że nikt w Kraju ani zagranicą nie mógł przewidzieć i wyraźnie powiedzieć, kiedy rozegra się walka, a do walki trzeba jeszcze żołnierza wyszkolić a przed walką trzeba na niego wychowawczo oddziaływać.

Obliczenie ludzi potrzebnych do walki kazało sięgnąć po oddziały

organizowane przez różne grupy społeczne. Oddziały wojskowe, organizowane przez stronnictwa polityczne, weszły w skład Armii Krajowej na ogół bardzo późno, lub wcale nie weszły /jak N.S.Z./ z wyjątkiem oddziałów organizowanych kadrowo przez P.P.S., które przejęliśmy pod względem taktycznym już w roku 1941. Wyszkolenie polegało w zasadzie na drobiazgowym przygotowaniu uderzenia na oddziały niemieckie, użyciu dostępnych środków walki, dopasowaniu służb i łączności. Dużo pracy poświęcono się szkoleniu niższych dowódców t.zn. kandydatów na podchorążych i podoficerów.

Artylerzystów, broń pancerną, saperów i łączność szkolono się na sprzeczanie niemieckim. Stąd pochodzi, że w czasie walk warszawskich każdy zdobyty czołg, działko szturmowe, działko plot, k.m., czy miotacz był odrazu użyty przeciw Niemcom i wystarczyło dosłownie kilka minut, by obsługa sprzętu opanowała.

Gdy mowa o szkoleniu, trzeba podkreślić ogromny wkład pracy w wyszkolenie kobiet pod względem sanitarnej, łączności i propagandy.

Obok szkolenia dowódców i oddziałów dla potrzeb walki powstańczej, szło równoległe doskonalenie wszystkich specjalistów.

Jeśli uwzględnimy techniczny charakter nowoczesnego wojska i wojny łatwo będzie zrozumieć, ile wysiłków kosztować musiało szkolenie żołnierzy artylerii, broni pancernej, łączności, jednym słowem tych wszystkich specjalistów, których musi mieć jako tako nowoczesne wojsko. Ile pracy musieli włożyć instruktorzy, by utrzymać się na poziomie i sprostać potrzebom.

Mieliśmy wszystkie potrzebne tajne niemieckie instrukcje, a więc wgląd w organizację, wyposażenie, wyposażenie, zaopatrzenie. Instrukcje te były przetłumaczone i rozpowszechnione.

Zazdrościliśmy kolegom zagranicą, że w oparciu o dobrze wyposażoną armię brytyjską mogą się szkolić w warunkach całkowitego bezpieczeństwa, w dobrobycie — przy bogactwie sprzętu. Nasza młodzież harcowała w Kraju, mająca wejść w skład oddziałów zmotoryzowanych, płacila za wyszkolenie kierowcy na prywatnych kursach kierowców. Tysiące takich kierowców przeszkolonych zostało w samym tylko okręgu warszawskim.

Gdy się zważy, że wróg weszły wszędzie, że liczba żołnierzy konspiracyjnych wzrastała w stosunku proporcjonalnym do metod okupanta, to zorganizowanie od podstaw wojska powstańczego, danie mu sprzętu, przechowanie sprzętu, wyprodukowanie dziesiątków tysięcy granatów, bomb, pistoletów maszynowych, przyjęcie i ukrycie, oraz rozdział broni i materiałów ze zrzutów powietrznych i t.p. jest wyczynem, z którego może być dumna kadra oficerska /1100/ i podoficerska /5300/ w okręgu.

W okręgu warszawskim była ciągłość pracy. Los mi pozwolił pracę organizować od marca 1940 r. i z niezmienną stanowczością przeprowadzać program organizacji, wyszkolenia i wychowania. Gdyby były zmiany na stanowisku komendanta okręgu, śmiem twierdzić, że liczba potrzebnych oddziałów, spójnia duchowa, wzajemne zaufanie nie byłoby zaistniało w natężeniu, potrzeb-

nym do takiego zrywu jak walka powstańcza. Podkreślam, że nie chodzi tu o moją osobę, ale o zachowanie ciągłości kierownictwa w warunkach konspiracyjnych.

### WOJSKO I SPOŁECZEŃSTWO

Dowódcy oddziałów i szeregowi, którzy widzieliby w dowódcy okręgu, powiatu, czy plutonu jednostkę o pewnym zabarwieniu partyjnym, odpadliby od takiej organizacji. Jedynie dowódcy reprezentujący cechy ponadpartyjne mogli zyskać zaufanie i szacunek. Nie wystarczyło wyznaczenie na stanowisko. Podkomendni mieli swe wymagania i trzeba było ich zadowolić, co nie znaczy, że należało i szło się na wszystkie ich życzenia. Nie może być dobrej "góry" a złych "dołów" i nie może być odwrotnie. Dobrze jest wówczas, gdy całość jest zgrana. Walka dowiodła, że tak było — inaczej walka powstańcza mogłaby się być smutnie zakończyć już w pierwszych dniach i jej rozpoczęcie byłoby prawdziwym szaleństwem, bo przy stratach nie dałoby tego, o czym piszę niżej.

Nastroje w odniesieniu do oficerów, panujące w latach 1939/40 w olbrzymiej większości naszego społeczeństwa w Kraju, cechował pewien żal, jaki ludność miała nie tylko do najwyższych kierowników państwem, ale i do dowódców wszelkich szczebli a zwłaszcza starszych oficerów zawodowych. Oficerowie, którym udało się ukryć przed Niemcami, "przebarbować" i wmieścić w tłum, słyszeli wiele i często musieli przyznawać rację ludziom rzucającym ciężkie oskarżenia na dowódców wszelkich szczebli. Dzienniki warszawskie, opanowane przez wroga propagandę, w ciągu wielu miesięcy szkalowały wszystko, co Polska tak gorąco kochała, zwłaszcza Armię. Cel był wyraźny.

Trzeba było więc każdemu z nas tak żyć i tak pracować, żeby zdobyć zaufanie i szacunek a po zdobyciu tego wśród otoczenia — przeciwdziałać propagandzie. Oficerowie, którzy sami nie mieli sobie do zarzucenia z czasu pokoju czy września 1939 r., straszliwe męki moralne znosili, gdy własni rodacy tak często z błotem mieszały i zniesławiali dowódców. Należało za wszelką cenę przywrócić zaufanie do tych fachowych żołnierzy, bez których żadna praca wojskowa nie mogła być planowo prowadzona.

Oficerowie zawodowi pracujący konspiracyjnie nad tworzeniem nowego wojska, a dla celów przetrwania poumieszczani w biurach miejskich i instytucjach niemieckich, przedsiębiorstwach prywatnych, własnych sklepikach, jako stróże nocni, palacze przy centralnym ogrzewaniu, wędrowni handlarze, sekretarze i urzędnicy gminni, konduktorzy i maszyniści na kolejach i.t.p. byli w społeczeństwie tym elementem, który poza swą pracą wojskową wybitnie pomagał prasie wszelkich ugrupowań politycznych, przywrócić miłość społeczeństwa dla Armii.

Trzeba przyznać, że ani Narvik, ani Francja /1 i 2 Dyw. Piech./ nastrojów dla Armii nie poprawiły, jakkolwiek los Francji, bogatej materialnie i o armii świetnej, z wielowiekową tradycją, złagodził nieco krytyczne nastawienie społeczeństwa do naszej kampanii wrześniowej.

I dla ścisłości historycznej trzeba stwierdzić, że praca wojsko-

wych w Kraju doprowadziła już w roku 1941 do zmiany nastrojów w odniesieniu do wojska. Aresztowania, męczeńska śmierć oficerów, ich stosunek do obywateli, wśród których żyli i działali, wyczyny w wywiadzie na rzecz Aliantów, udane akcje dywersyjne — wszystko to zmieniło atmosferę z miesiąca na miesiąc.

Prasa tajna informowała o wspaniałych wyczynach naszego Lotnictwa, Marynarki Wojennej i Brygady gen. Kopańskiego — Kraj był dumny z tych części naszych Sił Zbrojnych. Liczyło się na oficerów i szeregowych trzymany przez Niemców w Oflagach i Stalagach, jako na żołnierzy bez skazy, którzy we wrześniu 1939r. walczyli dzielnie do końca, ulegli przeciwnikowi.

Muszę przyznać, że w latach 1941-43, gdy oddziały Armii Krajowej były liczne i miały w swym dorobku wyczyny dużej miary, Wojsko na Wypach Brytyjskich czy na Bliskim Wschodzie, było — poza Lotnictwem, Marynarką i Sam. Bryg. Karpacką — mało popularne. Żołnierze Armii Krajowej mówili nieraz między sobą z obawą, czy znajdą wspólny język z tymi, którzy w doskonałym dobrobycie żyją poza Krajem. Nie było wątpliwości, że jeńcy wojenni z obozów w Rzeszy żyją się z żołnierzem Armii Krajowej bardzo szybko. Niestety zebknięcie Armii Krajowej ze starszymi ich kolegami na terenach obozowych w Rzeszy przyniosło początkowo i pod tym względem pewne rozczarowanie.

II. Korpus, Brygada Spadochronowa i I. Dywizja Pancerna od chwili wejścia do akcji były odrazu na ustach wszystkich. Ich czyny bojowe, sławione przez prasę całego świata, napędzały dumą serca Polaków, zwłaszcza w Kraju.

Gdy w czasie walk powstańczych doszły nas słowa uznania ze strony II. Korpusu i I. Dywizji, wyrażone przez dowódców tych związków t.j. gen. dyw. Andersa i gen. bryg. Maczka, zadumał się żołnierz krajowy porównując swe wysiłki dla dobra Polski z takimiż wysiłkami swych kolegów z poza Kraju. Jedni i drudzy walczyli dla sprawy Polski, ale pośrednio, zaś bezpośrednio wykorzystanie sukcesów polskiego żołnierza przypada armiom alianckim, przy czym n.p. Czerwona nie chce korzystać z osiągniętych wyników z niesłychanej ofiarności w walce żołnierza krajowego.

### DUCH OBYWATELSKI

Ale wracam do oddziałów konspiracyjnych wojska krajowego. Żołnierz /tak oficer, jak podchorąży, podoficer czy strzelec/ nie nosząc munduru i niezobowiązany do zewnętrznej karności i wszystkiego tego co niesie ze sobą życie "koszarowe", czytał tajną prasę wszystkich odcieni, myślał wiele, dyskutował, przekonywał innych, dawał się przekonywać — jednym słowem żył pełnią życia politycznego. Ci, którzy nie należeli formalnie do żadnego stronnictwa, mieli rzecz jasną, swój właściwy sąd.

Dla kolegów, którzy od r. 1939 nie byli w Kraju, chcę podać, że pod względem wyrobienia obywatelskiego ludność zrobiła niesłychanie duży postęp. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że przed r. 1939 były setki tysięcy słabo uświadomionych pod względem narodowym

obywateli — mieszkańców zapadłych wiosek polskich, to dzisiaj nie ma ani jednego Polaka, któryby nie dyskutował rozsądnie nie tylko o sprawach państwowych, ale nawet o zawiłych kwestiach dotyczących ustroju społecznego. Duża jest pod tym względem zasługa stronnictw politycznych i ich tajnej prasy, ale i duża zasługa apolitycznej prasy Armii Krajowej.

Na tle działalności politycznej — praca wojskowa jest małą tylko częścią. Za pracę polityczną wybitne jednostki, ba, całe grupy osób, ginęły w więzieniach i obozach bez przerwy w ciągu pięciu długich lat okupacji.

Gdy los pozwoli Polskim Siłom Zbrojnym powrócić do Kraju, znajdą one swych ziomków, którzy dużo przeczepili, dużo przemyśleli, wyrobili się politycznie — tak mężczyźni jak i kobiety, tak bogaty jak i ubogi, wykształcony i prostaczek.

### ZNACZENIE POWSTANIA

Dwumiesięczna walka powstańcza w Warszawie dowiodła, że Polacy potrafili się zorganizować i wykonać wysiłek budzący podziw całego świata.

Walka wydobyla na wierzch pierwiastek dumy narodowej oraz bohaterstwo, które w dziejach naszych odmiennie od innych narodów doprowadzało nieraz do ocalenia państwa w warunkach, które mogły innym wydawać się beznadziejne.

Walka przywróciła zaufanie społeczeństwa do dowództwa wojskowego, starła różnice między ludźmi o różnych zapatrywaniach na sprawy polityczne i społeczne, wykazała, że Polacy cenią prawdziwą wolność więcej, niż życie i potrafią wziąć odwet za zbrodnie i gwałty popełniane względem Narodu nawet w warunkach tak nierównej walki, jak mogła być i była z przeciwnikiem silniejszym i bez porównania lepiej uzbrojonym. Gdy pomoc z zewnątrz okazała się zawodna — walka się nie kończy, lecz trwa dalej z coraz większą zaciętością.

Zakończenie walki nie pomniejszyło ani u swoich, ani u obcych aureoli chwały, jaką się okryła dumna stolica Polski, w której obok męczyzna egzamin bojowy świetnie zdały kobiety polskie.

Walki obfitowały w liczne dowody jednostkowego i zbiorowego bohaterstwa, których opis będzie w przyszłości podstawą wychowania młodych pokoleń.

Karność wojskowa, niezbędna w każdym działaniu, oparła się na pierwiastkach i założeniach najszlachetniejszych. Dowódca był ceniony w taki sposób, w jaki dobrzy pracownicy patrzą w zdolnego inżyniera, jak orkiestra w dyrygenta. Współpraca władz cywilnych z Wojskiem była wzorem wzajemnego zrozumienia potrzeb i celu wysiłku. Żołnierz rezygnował w dniach głodu ze swej skromnej racji żywnościowej na rzecz ludności cywilnej, zwłaszcza kobiet i dzieci.

Wszyscy, którzy rozpoczęli walkę wiedzieli, że idą na pewną śmierć, pozostali przy życiu zazdrościli poległym. Nadziemska siła rozplamiała serca.

Uczestnicy walk warszawskich mają poczucie spełnionego obowiązku. Warszawa dała świadectwo jaka jest cała Polska.

London dnia 20. sierpnia 1945 r.

ANTONI CHRUSCIEL  
"MONTER"

# Z bezdroży bezprawia

Nieprowadzenie zjazdu Rady Ministrów Spraw Zagranicznych pięciu państw, St. Zj. Ameryki, W. Brytanii, Francji, Rosji i Chin, który trwał bite trzy tygodnie, od 11 września 1945 do 2 października 1945, jest całkowite. Tak doskonale całkowite, że ani jeden promyk nie zamąca nieskazitelnie ciemnej plamy, jaką tworzy ta pustka. Wedle stawu grobla, więc też zardzewiała dobrana i zamknięta w swej dumnej wyłączonej Rada dała widokowo iście wielkomocarstwowej niemocy.

Jak świat światem, czyli, mówiąc ściślej a przez to dobitniej, jak daleko wstecz sięga pamięć takich zjazdów międzynarodowych, nie zdarzyło się, żeby nie tylko nic, ale to nic, nie załatwiono, lecz by nie zdobyło się nawet na t.zw. końcowe zażalenie wspólne o wynikach licznych i czasem dwukrotnych dniennych posiedzeń w ciągu tych trzech tygodni, poza sześcioma czy siedmioma beznadziejnie zwycięzimi słowami: "Rada postanowiła położyć kres swemu obecnemu zebraniu... The Council decided to terminate its present session".

We wszystkich zaś, od początku do końca, Rada utykała stale, niezmiennie i wyłącznie na niemożności porozumienia z Rosją.

Znaczenie tego niepowodzenia sięga znacznie poza bezprzykładnie żałosny wynik bez wyniku szumnie zakrojonego zebrania, gdyż:

1. odsłania ono już stanowczo zakrywaną, zalepianą i zagadywaną dotychczas przepaść w podstawowych poglądach między zespołem Narodów Zjednoczonych z Wielką Brytanią i St. Zj. Ameryki na czele a Rosją.

2. pieczętuje bankructwo załatwiania spraw świata w zamkniętych zespołach, dowolnie tworzonych na zasadzie siły a nie prawa, oraz bezwstydne poświęcanie w nich prawa i sprawiedliwości wobec żądań i działań siły.

W toku przygotowywanych pod koniec wojny i z jej końcem załatwionych pokojowych jest to pierwsza wygrana bitwa dotychczas ciągle spychanego i w kozi czy krymski róg zapędzanego prawa.

Próby zganiania utknięcia narad na nieprzygotowanie ich, lub na sprzeczność postępowania w nich z poprzednimi postanowieniami w Poczdamie, są wykrętami.

Uchwała poczdamska zjazdu kierowników trzech państw, Truman-Churchill i Attlee-Stalin, ogłoszona,

po rozpoczętych 17 lipca 1945 naradach, dnia 2 sierpnia 1945, wyraźnie stwierdziła, że celem przygotowania układów pokojowych:

tworzy się Radę Ministrów Spraw Zagranicznych pięciu państw /p. 1/; której stałą siedzibą będzie Londyn /p. 2a/; która na pierwsze narady zbieże się w Londynie nie później niż we wrześniu 1945, a od czasu do czasu może wyznaczać miejsce spotkań w innej stolicy /p. 2b/; i która zacznie swe prace od przygotowania, celem przedstawienia ich Narodom Zjednoczonym, układów pokojowych /to draw up, with a view to their submission to the United Nations, treaties of peace/ z Włochami, Rumunią, Bułgarią, Węgrami i Finlandią i przedstawienia wniosków o załatwienie spraw terytorialnych związanych z zakończeniem wojny w Europie /to propose settlements of territorial questions outstanding on the termination of the war in Europe/, jakoteż przygotowania układu pokojowego z Niemcami /p. 3a/; przyczem dodano, że także inne zagadnienia mogą być przekazywane Radzie w drodze porozumienia rządów wchodzących w jej skład /p. 3c/.

Więc też przystąpiono do tych spraw, ale od razu okazało się, że w każdej z nich kolejno Rosja ma inne poglądy i inne dążenia niż inni, a ponieważ dotyczyły one przeważnie obszarów, w których ona włada wojskowo, stało się rzeczą jasną, że wcale jej nie spieszy do innych załatwień.

Gdy jednak ta prawda zbyt rząca rzucała się w oczy, a uniemożliwianie postanowień przeciwnym stanowiskiem między Rosją a wszystkimi innymi wystawiało ją zbyt mocno na sztych, pod koniec narad Rosja przerzuciła nagle zażalenie na płaszczyznę trybu postępowania w Radzie pięciu Ministrów Spr. Zagr.

Stanowisko swe oparła Rosja o postanowienie poczdamskie, że w wymienionych sprawach europejskich układów pokojowych /3a/ dla każdej z nich będą zasiadał przedstawiciele tych państw, które podpisały warunki poddania się danego państwa nieprzyjacielskiego /3b/ pierwsze zdanie/, nie zwracając uwagi na doświadczenia, że mogą być dopuszczani i in-

ni członkowie Rady /3b zdanie 3/, w myśl którego Rada na początku swych obrad postanowiła załatwiać sprawy w pełnym składzie. Postanowienie to zapadło 11 września 1945... jednomyślnie z udziałem p. Mołotowa. Po jedenastu dniach utykania, w szczególności spraw Bułgarii, Rumunii i Węgier, opanowanych przez Rosję, p. Mołotow oświadczył 22 września 1945, że... pomylił się i że w naradach powinny brać udział tylko państwa, które podpisały poddanie się danego kraju, a więc w sprawie Finlandii tylko Rosja i W. Brytania, w sprawie Bułgarii, Rumunii i Węgier tylko Rosja, W. Brytania i St. Zj. Ameryki, a w sprawie Włoch jeszcze i Francja co zastrzeżono wyraźnie /3b zdanie 2/, zupełnie pomijając uprawnienie Rady do rozpraw w pełnym składzie, jeśli tak postanowi.

Nic dziwnego, że to stanowisko Rosji, okraszane... pomyłką, wywołało zdumienie powszechne, ale można dodać, pouczające.

Któż nie pamięta, że po uchwałach krymskich z 12 lutego 1945, okazało się, że postanowienia o tworzeniu nowego rządu w Polsce pojmują zupełnie inaczej Rosja, pragnąc zachować swój t.zw. rząd lubelski bez poważnych zmian, a inaczej W. Brytania i St. Zj. Ameryki, żądające, zgodnie z postanowieniami, nowego rządu. Dnia 25 kwietnia 1945 ukazało się urzędowe oświadczenie wspólne brytyjsko-amerykańskie, stwierdzające dobitnie całkowitą rozbieżność pojmowania rzeczy. Ale wówczas upór Rosji zwyciężył i w czerwcu 1945 stworzono rząd w Polsce według jej pojęć.

Tym razem oparto się Rosji — /lub oparto się narazie/ — ale zarazem dowiedziano się, że w postanowieniach, w których układaniu Rosja uczestniczyła, znajduje ona zwykle podstawy do... odmiennego pojmowania, choćby z... pomyłką.

Myliliby się, kto by sądził, że Rosja uprawia takie gry z zawstyżeniem. Przenigdy. Z wyniosłą wyższością mówił p. Mołotow dziennikarzom w Londynie, nazajutrz po rozpadzie narad, 3-go października 1945:

— Nie zna nas kto sądzi, że my naruszamy w czymkolwiek powzięte postanowienia!

Wystąpił, jednym słowem, jako je-

dyny obrońca prawa: *umus defensor iuris*.

Treść istotna stanowiska Rosji jest niedwuznaczna w swym znaczeniu i brzemieniu w dalekosiężną doniosłość: Rosja chce zachować pod swą władzą cały obszar dziesięciu krajów i całą przeszło stumilionową ludność narodów Europy Środkowo-Wschodniej, zajętej przez nią wojskowo w czasie tej wojny.

Dlatego, jak już zacytowała nad Finlandią, a wcieliła do ZSRR Kraje Bałtyckie, jak najjaśniejszą samowolą i grabieżą zagarnęła wschodnią Polskę a w Polsce środkowo-zachodniej nie dopuściła rządu innego niż przez się z Rosji przysłany, jak rząd Czechostowacji również utworzony w Moskwie trzyma krótko w uzdach, tak też obecnie, w Radzie Ministrów Spr. Zagr., nie chciała słyszeć o innych rządach w Bułgarii, Rumunii i na Węgrzech jak osadzone przez nią, czyli jej pod-urzędy. Na tym wszystko utknęło. Układy pokojowe z tymi krajami trzeba bowiem przygotowywać z wysłuchaniem ich rządów. A w obecnym stanie rzeczy będzie to zawsze i wyłącznie głos Rosji i, pod pozorem woli tych narodów, stanie się wszystko czego chce Rosja.

Dlatego, dotarliśmy groźnie do Adriatyku przez opanowanie Jugosławii rządem swego wyrobu z pominięciem wszelkiego prawa tego kraju, usiłuje zapewnić sobie władanie w Triście i udział, a przez oparcie o miasto, przewagę w porcie, wysuwając nadto, częściowo dla targu a częściowo rzeczywiste, swe roszczenia do wpływu w posiadłościach włoskich w Afryce Północno-Wschodniej, czyli na drugim wybrzeżu Morza Śródziemnego i w pobliżu Kanalu Sueskiego.

Dlatego oparła się nawet wycofaniu wojsk z Persji do grudnia 1945, jak gotowa była W. Brytania, przewlekając władanie w północnej jej części i urabianie kraju po swojemu, narazie o dalsze pół roku do marca 1946.

Wszystkie zaś te działania i dążenia Rosji nie tylko urągają wszelkiemu prawu, ale są też naigraniem się ze zobowiązań i postanowień powziętych łącznie w czasie tej wojny. Gwałcą one, w stosunku do Państw

wchodzących w skład Narodów Zjednoczonych, Kartę Atlantycką z 14 sierpnia 1941 i z 1 stycznia 1942, poręczającą im nietykalność obszaru i niepodległość wewnętrzną. Gwałcą, w sprawie Persji, domagającej się wycofania wojsk obcych, zobowiązanie trzech mocarstw wobec niej ogłoszone w Teheranie 11 grudnia 1943. Gwałcą, wobec Państw Bałkańsko-Naddunajskich, postanowienia uchwał krymskich z 12 lutego 1945, w rozdziale o wyzwolonej Europie, przyrzekające im własne rządy demokratyczne. Rosja kpi jawnie z wszystkich zobowiązań, w których powzięciu uczestniczyła.

Zjawiskiem nowym, po doświadczeniu Rady pięciu M. Spr. Zagr., jest obwieszczenie amerykańsko-brytyjskie, w oświadczeniach Sekretarza Stanu p. Byrnes'a, w Londynie 3-go i w Waszyngtonie 5-go października 1945, stwierdzające bankructwo załatwienia spraw pokoju w gronie trzech państw lub choćby pięciu z prawem veto jednego.

Jest to początek końca bezprawia. Wszystkie t.zw. uchwały czy postanowienia, dotyczące losu narodów i krajów, a powzięte przez zjazdy trzech, w Teheranie, na Krymie i w Poczdamie, mogły być wyrazem poglądów ich uczestników. Ale były całkowicie bezprawne, ze stanowiska prawa międzynarodowego i prawa wewnętrznego narodów, jako rozstrzygnięcia. A tymczasem taką właśnie moc im nadawano.

Był to owoc złego posiewu. Różni meżowie stanu, a szczególnie meandrów drapiący się na szczudła meżów stanu, głosił od paru lat, że główny głos musi mieć siła. Pod tym hasłem dano nieprawdopodobnie przywileje nie tylko trzem razem, ale każdemu z nich. Świat zdrzął pod naciskiem zasady siły przed prawem.

Fryderyk II mówił, że trzeba zagrabic, a potem już prawnicy znajdą uzasadnienie, a Rosja dziś mówi, że trzeba zagrabic i nikogo nie dopuścić do wtrącania się.

W imię stanowiska amerykańsko-brytyjskiego w czasie narad londyńskich p. Byrnes wysuwa zasadę, że wszyscy, którzy wzięli udział w wysiłku wojennym przeciw napastnikom, muszą też mieć głos w ustalaniu pokojowych. Hasło to znajduje odzwierciedlenie w Rosji. Rosja Sowiecka, pod swym sztandarem siły przed prawem, jest coraz wyraźniej odosobniona.

STANISŁAW STRONSKI

## PRAWDA WYCHODZI NA JAW

W dwa z górą miesiące po Hirozsimie meżowie stanu postępują tak jakby bomba atomowa w ogóle nie istniała. Dyskutują o rzeczach, których nowy wynalazek pozbawił wszelkiego sensu, jak gdyby nie się na świecie nie zmieniło. Tak samo jeśli chodzi o konferencje 5 ministrów, która zakończyła się złośliwym fiaskiem, nie widać, by wyciągnięto z tego niepowodzenia należyte wnioski.

Dyskutuje się do nieskończoności czy w Poczdamie ustalono, że Francja i Chiny będą czy nie będą uczestniczyły w opracowaniu traktatu z Rumunią, tak jakby to było rzeczą najważniejszą, a mało kto docenia fakt, że cała koncepcja Wielkiej Trójki rządzącej po dyktatorsku światem okazała się niemożliwa do utrzymania.

Wyszło przecież teraz ostatecznie na jaw, że cała szumnie reklamowana "jedność" trzech mocarstw była utrzymywana jedynie za cenę ciągłych, jednostronnych ustępstw Churchilla i Roosevelta, co więcej zaś, że bardzo często jej pozory ratowane były przez fikcyjne porozumienia, których założeniem była odmienna interpretacja przez poszczególne partnerów. Klasycznym tego przykładem była deklaracja jałtańska i w ogóle ciągłe operowanie pojęciami "demokracji", "wolnych wyborów" i t.d.

Musiła oczywiście przyjść chwila, gdy polityka ustępstw nie mogła być prowadzona dalej. Dziś p. Byrnes otwarcie mówi, że Ameryka nie uznaje "porozumienia za wszelką cenę". Ale niestety mocarstwa Zachodu nie wyciągają stąd wniosku, że wszystko co w Teheranie, Jałcie i Poczdamie zostało dokonane musi być uważane za nieważne. I że trzeba budować pokój świata na zgola innych podstawach — powracając do zasad Karty Atlantyckiej i do poszanowania praw wszystkich narodów, dużych i małych.

## KONIEC "WIELKIEJ TRÓJKI"

Niewątpliwie są pewne oznaki pomysłne. Jest ich nawet sporo. Amerykański sekretarz stanu stwierdza uroczyście, że Stany Zjednoczone, owszem, pragną dyktować warunki pokoju nieprzyjaciółom, ale nie chcą dyktować ich sojusznikom. Logicznie wynikało by stąd, że wszystkie decyzje narzucone Polsce są nieważne. W W. Brytanii coraz liczniej odzywają się głosy stwierdzające, że idea "Wielkiej Trójki" przesyła się i trzeba z nią skończyć. Nadchodzą doniesienia, według których Stany

# Przegląd tygodniowy

Zjednoczone zamierzają cofnąć uznanie totalistycznemu rządowi Tity — temu rządowi, który został narzucony Jugosławii tak jak rząd Bieruta i Osóbki został narzucony Polsce.

Wreszcie na porządku dziennym dyskusji międzynarodowych jest sprawa zwolnienia szerszej konferencji pokojowej, którą zastąpiła Radę 5 ministrów i w której by uczestniczyły wszystkie państwa europejskie i pozaeuropejskie, mające prawo do decydowania o pokoju, skoro przelewały krew na wojnie. Gdy ten projekt amerykański, mający poparcie W. Brytanii i innych państw i czekający obecnie na aprobacie rosyjskiej, został wprowadzony w życie — byłby to krok do zerwania ze złą tradycją rządów wielkich mocarstw i przejścia do metod bardziej demokratycznych.

Trzeba jednak podkreślić, że samo zwolnienie takiej konferencji nie rozwiązałoby niczego. Cóż z tego, że opracowanie traktatów pokojowych powierzzone będzie konferencji kilkunastu państw, jeżeli w imieniu Polski i Jugosławii występować będą ludzie, nie mający do tego najmniejszego prawa, głoszący według wskazówek obcego mocarstwa, choćby wbrew żywotnym interesom własnego narodu, jak to się działo na kon-

ferencji UNRRA w Londynie, gdzie delegat "polski" głosował za wygłodzeniem Polaków w Niemczech.

## POSTĘPY SOWIETYZACJI

Ostatnie dni przyniosły wskazówki o wzmożeniu się polityki sowietyzacji strefy wpływów sowieckich. Wzmagają się walka z wszelkimi formami opozycji w Polsce, w Jugosławii i innych krajach. Pośpieszenie dokonuje się — jak ujawnił "Observer" z 7 b.m. — sowietyzacja wschodnich Niemiec przez wprowadzanie kolektywnych gospodarstw rolnych i opanowywanie wszystkiego przez komunistów.

Jeżeli chodzi o położenie w Polsce, to warto zestawiać kilka faktów z ostatnich dni, które razem wzięte rzucają ciekawe światło na zamiary obecných władców naszego kraju.

Tak więc mamy do zanotowania wyraźny wzrost propagandy antysojuszniczej, zarówno w samej Polsce, jak i w obozach wysiedleńców polskich w Niemczech. Szczególnie żywa jest propaganda antybrytyjska. Wyraża się dążność do podburzania Polaków przeciw W. Brytanii i innym państwom demokratycznym.

## TAJEMNICE REPATRIACJI

Oficjalnie prowadzona jest żywa propaganda za powrotem do Polski

Polaków z zagranicy. Ale coraz liczniejsze są dowody, że wcale o ten powrót nie chodzi. Faktem jest, że już wielokrotnie wyznaczone terminy rozpoczęcia repatriacji z Niemiec tych, którzy zgłosili gotowość natychmiastowego wyjazdu, były w ostatniej chwili odraczane z powodu coraz to nowych trudności ze strony władz sowieckich.

Najpierw planowany był transport kolejowy tymi samymi szlakami, którymi repatriowano Rosjan, ale władze sowieckie odmówiły zezwolenia na korzystanie z linii kolejowych. Później projektowano transport samochodowy, ale znowu okazało się że trasa nie nadaje się do przejazdu. Przy jeszcze innym planie przedstawionym przez władze sowieckie wyszło na jaw, że odcinek 80 km. repatrianci mieliby przebyć pieszo...

Trudno stwierdzić jakie motywy kryją się za tymi trudnościami. Oczywiście nie trudno będzie pogłębić na tym tle rozżalenie wysiedleńców do władz sojuszników, których propaganda obciąża winą za ten stan rzeczy. Może właśnie o to chodzi. W każdym razie władze brytyjskie widziały się zmuszone wydać oświadczenie, że nie one ponoszą winę za opóźnienie transportów i apelując o niesłuchanie roszczeń przez radio i prasę plotek. Jak wia-

domo prasa polska z Zachodu do obozów nie dociera, a jedynie szaleje tam propaganda prasowa i radiowa reżymu warszawskiego.

## ROSJANIE — POLACY — NIEMCY

Jednocześnie systematycznie opóźniana jest repatriacja Polaków wiezionych w głąb Rosji. Nie ulega wątpliwości, że duża część deportowanych nie zdola w ogóle do kraju powrócić.

Tymczasem zaś ziemie zachodnie szybko opróżniane są z Niemców, choć nie mogą być zagospodarowane przez Polaków. Po 15 października 20.000 Niemców ma być deportowanych do strefy okupacji sowieckiej — ogółem dalszych 1.500.000 ludzi. Dziennikarz francuski, który bawił w Prusach Wschodnich, stwierdza, że tereny pod administracją rządu warszawskiego są zupełnie puste, że natomiast Rosjanie agituja Niemców do uciekania na wschód — na tereny przyłączone do Rosji. Wreszcie dziennikarze angielscy, którzy odwiedzili Śląsk i Pomorze twierdzą, że Niemcy masowo uciekają do strefy rosyjskiej i że zdaniem Niemców Rosjanie traktują ich znacznie lepiej, niż Polacy.

Jeżeli to wszystko zestawiać, to obraz jest jasny. Prowadzona jest polityka, która daje różnorodną korzyść. Z jednej strony w świat idą opowiadania przedstawiające Polaków w najgorszym świetle, z drugiej zaś Niemcy zachęceni są do dobrowolnego zabiegania o... możliwość pracy dla Rosji.

Warto jeszcze zanotować, że pisarz angielski, który pytał w Warszawie, dlaczego przy odbudowie stolicy nie są zatrudnieni jeńcy niemieccy, otrzymał odpowiedź, że jest to zadanie dla samych Polaków. Prawdopodobnie po prostu jeńcom niemieckim wyznaczono jedynie prace dla Rosji a Warszawę niech odbudowują sami Polacy i to gołymi rękami, bo narzedzi żadnych — jak wszyscy stwierdzają — nie ma. Co było, zostało wywiezione.

A gdy miasta polskie pozostały rumowiskiem, gdy fabryki opozone z maszyn nie będą pracować, a ziemie zachodnie, z których beładnie wypędzono Niemców, zanim mogą w ogóle przybyć Polacy, stać będą pustkowiem, gdy wreszcie na zachodzie wzbudzi się niechęć do Polaków i pokłóci ich z narodami sojusznikami — wówczas nie będzie można rzeczą trudną głosić, że "Polacy nie umieją rządzić się sami".

Londyn, 7 października 1945

ALEKSANDER BORAY

# Pomimo wszystko

W ostatnich dniach przed wybuchem powstania panowało w Warszawie napięcie nie do zniesienia. Cała Warszawa oczekiwała, że w każdej chwili coś się może stać, że może już wkrótce Niemcy nie będą bezkarnie patrolować ulic stolicy. Napięcie to powodowały odgłosy wciąż zbliżającego się frontu niemiecko-rosyjskiego, odezwa Moskwy o wszczęciu walk i coraz częstsze rewizje na ulicach i coraz gęstsze patrole niemieckie. Pewnego popołudnia wybuchło powstanie.

W pierwszych dniach Wola opanałowała dużą przestrzeń, istniało połączenie i ze Śródmieściem i ze Starym Miastem. Można było przez cmentarze wyostać się za miasto. Można było dostać się na Żoliborz i do Puszczy Kampinowskiej. Nacisk wroga, choć z trudem był do przezwyciężenia.

Pierwszy zdobyty czołg, pancernik, broń maszynowa napawały entuzjazmem. Powiewały chorągwie, wisiały plakaty mobilizacyjne, ściągające nowych ochotników. Powstańców było więcej, niż miejsc na stanowiskach i na barykadach. Było ich widać wielu na ulicach Woli. Chodzili z białoczerwonymi opaskami, umundurowani w zdobyczne "panterki". Byli syci. Nieraz z pieśnią na ustach. Dla rannych było dość miejsca w szpitalu, i wiele przestrzeni — do przyjęcia zrzutów.

Najmłodszy żołnierz, którym powierzono najmniej eksponowane stanowisko denerwowali się, że nie nie robią. Któregoś dnia rozpoczął się atak; i od Płockiej, wdzierający się na Karolkową, i od Cmentarzy, i wzdłuż Wolskiej. Pamiętam pierwszą reakcję najmłodszych żołnierzy, którzy po raz pierwszy brali udział w walce. Wydawało im się, że bez odpowiedniej ilości amunicji, bez cięższej broni nie potrafią utrzymać odcinka. W zamieszaniu walki wydawało im się, że szeregi są tak przereźdzone, że tyłu kolegów zginęło, że nie ma już kto walczyć. Wydawało się każdemu, że sam jeden odpięra cały napór.

Wkrótce się przyzwyczaili. Szeregi zwarły się, młody żołnierz okrzepł, twardo trzymał swe stanowisko, wierząc, że zaraz nadejdzie pomoc w zrzutach, że nacisk wroga osłabnie, gdy zacznie się oczekiwana ofensywa sowieckich wojsk stojących obok, na Pradze.

Któregoś dnia góra przeleciały samoloty, ludność cywilna wybiegła z domów, z piwnic, gdzie się chroniła przed nisko latającymi niemieckimi "Stukasami", raz po raz zrzucającymi celne bomby. Nie były to samoloty niemieckie, zaczęto wiwatować. Nowy zapal wstąpił w szeregi walczących. Myśleli, że to zapowiedź masowych zrzutów. Były to samoloty sowieckie, na Wolę nic nie zrzuciły. Którejś nocy przyszły samoloty z baz brytyjskich, polskie załogi dokonały kilku zrzutów na cmentarzu ewangelickim. Nastąpiła chwila poprawa sytuacji.

Po tygodniu nacisk wroga nabrał na sile, nasze oddziały zaczęły wycofywać się w kierunku Ghetta i Starego Miasta. Żołnierz opuszczał swe pierwsze placówki, nie rozstawał się jednak z nadzieją zwycięstwa. Ośrodek oporu z Woli przeniósł się na Stare Miasto, które z kolei stało się głównym punktem nacisku ze strony wroga.

Pamiętam noc oczekiwania na placu Krasińskich /Stare Miasto było już wówczas odcięte/. Zapowiedziano zrzuty: samoloty nadlatywały nad Warszawę, zbliżały się nad Stare Miasto. Całe niebo świeciło kolorowymi kulkami pocisków przeciwlotniczych, odłamki jak grad dzwijały o dachy. Samolot przelatujący i nie mógł spełnić swego zadania, bo dymy pożarów przesłaniały mu widok, zapora ognia artylerii przeciwlotniczej odcinała go od miejsca zrzutu. Samolot nawracał. Serca czekających na dole były jednym rytmem z obsługą przelatującą niebem i z kierującym pilotem. "To napewno jest polska obsada — szeptano — obcy by dawno zrezygnowali".

Samolot nie zrzucił broni, sam został strącony. Na dole zaległo głuche milczenie. W sercach rodziała się zimna pewność, że pomoc z powietrza na Stare Miasto już

nie przyjdzie. Tej nocy przyjęto w innych punktach Starego Miasta kilka zrzutów a ze strąconego samolotu uratowano jeden karabin maszynowy. Wspomogło to w oporze, lecz szali na stronę zwycięstwa już nie mogło przeważyć.

Żołnierz walczył na barykadach, oszczędzając naboja a ludność dostrzymywała mu kroków mężną, choć zrezygnowaną postawą. Gineło jej może więcej, niż żołnierzy, lecz w tym czasie straty w szeregach były bardziej widoczne, gdyż bardziej dotkliwie dla walki. Odpadali zazwyczaj ci najlepsi, najdzielniejsi i najlepiej zaprawieni.

Z odcinków coraz rzadziej luzowano żołnierza na odpoczynek. Na ulicach nie widziało się go prawie. Właściwie nie było już możliwości wytrwania, a jednak się trwało, żołnierz był niewyspany, zobojetniały z wysiłku, patrzący wprost przed siebie oczami zaciętkimi z woli wytrwania i spokojnymi jakby z innego świata. Już nie wierzył w możliwość zwycięstwa a jednak walczył.

Pamiętam jedną rozmowę z chłopcami z remizy tramwajowej za Szpitalem Bożego Jana. Stawali sprawę jasno: — "Niemcy naciskają, z ich strony walczy wciąż świeży żołnierz, przeciw nam kierują tankietki nalaodowane środkami wybuchowymi, "goliaty", niszczą nam punkty oporu z powietrza. A my nie mamy nawet dość amunicji do pemów, nasz "piat" często milczy. Tak trudno w czasie ich ataku wytrzymać do ostatniej chwili z wystrzałem, by nie zmarnować amunicji. A za Wisłą cisza".

Pytali czy może nadejść pomoc, w lot chwytali załamanie głosu. — "Proszę nas nie ludzić. My

i tak wytrwamy. Będziemy walczyć do końca, może i zginemy wraz z rozsypującymi się domami miasta, ale zginemy w boju, nie w obozach koncentracyjnych, poniewierani, kopani przez brutalnego wroga. A na to już nie mamy sił, skoro dotknęliśmy się wolności".

Żołnierz trwał na swych stanowiskach, cofając się z rzadka, gdy z domów zostawały tylko ruiny. Czasem, bardzo rzadko zasłyszano jakąś pieśń zanuconą półgłosem, ton szturmówki, a czasem motyw z "Warszawianki": "kto zwycięży wolnym będzie, a kto poległ wolnym już". Poległym się zazdrościło.

Stare Miasto walczyło ostatkiem sił. Domy rozsypywały się w gruzy, "szafy" i pociski z granatników dosięgały wszystkich zakątków, pożary szalały. Z odcinków przybiegali chłopcy, przybiegały łączniczki, żądając amunicji, choćby kilkunastu granatów. Śmierć była wszędzie, była blisko, wciąż obok. Była wyzwoleniem dla tych, co odchodzili na zawsze z szeregów, wyzwoleniem z nadludzkiego wysiłku, była stratą i krzywdą okrutną dla towarzyszy pozostających w wyszczerbionych szeregach.

I było wielu rannych, straszliwie nieraz poszarpanych, broczących krwią, pośpiesznie wnoszonych do ciemnych, dusznych piwnic, gdzie dogorywali z braku środków lub niemożliwości natychmiastowej operacji. Rannych było więcej, aniżeli ludzkich możliwości udzielenia im właściwej pomocy. Lekarze i siostry ślaniały się ze zmęczenia. Środków opatrunkowych i lekarstw brakło. Przynoszono je ostatnio, jak amunicję kanałami z Żoliborza i Śródmieścia.

Walka toczyła się już nie na

śmierć i życie a tylko na śmierć. Miasto, ukochana Warszawa widziana oczyma powstańca ze Starej Wólki była już w gruzach, bliscy nie do odnalezienia, marzenia o Niepodległej zasnuła mgłą. U podstaw walk w czwartym tygodniu tkwiła już beznadziejność.

Powstaniec patrzył prawdzie prosto w oczy i nie ludził się. Powstaniec, dawny kurier docierający do Wilna i Nowogródka, do oddziałów Oliwy i Żegoty na Wołyniu, członek oddziałów dywersyjnych, skoczek z Londynu, dowódca plutonu konspiracyjnego wiedział wiele o biegu rzeczy. Zdawał sobie sprawę, że jeśli pomoc z zewnątrz nie przyjdzie, to przemoc niemiecka nas zetrze, gdyż ciągle pod przemożnym naciskiem wroga ustępowaliśmy z gruzów. Wiedział, że już nawet zrzuty nie mogły nas uratować. Wiedział, że Warszawę możemy utrzymać tylko z pomocą Rosjan.

Oczekiwani byli na początku z entuzjazmem. Liczyli się do alianców, do wrogów naszych wrogów. Lecz dni mijaly, stawało się coraz bardziej widoczne, że przerwali natarcie, że nie śpieszyli nam z pomocą ani w zrzutach, ani w osłonie lotniczej, choć przez moskiewskie radio nawoływali lud Warszawy do powstania, a teraz gdy lud Warszawy powstał i walczył w zorganizowanych szeregach, ociągali się z pomocą. Powstaniec wiedział, że mieli blisko swe bazy lotnicze i że mieli wiele zaopatrzenia i amunicji w ramach Lend and Lease z Zachodu.

Entuzjazm powoli zamierał, wzrastało głębokie powątpiewanie. Jeśli istotnie bolszewicy zdecydują się uderzyć na Niemców i przyjdą do Warszawy, lub dadzą pełną

pomoc w zrzutach i osłonie lotniczej, to walka nasza będzie skończona. Będzie można wyspać się i zjeść do syta. Chwila ulgi nastąpi. Ale czy przyniosą Niepodległą? Przecie prawdą jest, że zniszczyli nasze oddziały pod Wilnem, prawdą jest, że oddziały lubelskie, zwycięskie w walkach z Niemcami nad Bugiem i pod Lublinem, zostały zatrzymane i rozbrojone, gdy ruszały z pomocą Warszawy.

Sprzymierzeńcy stojący na Pradze stawali się wielką niewiadomą. Nie wiedział powstaniec, czy po wejściu do Warszawy bolszewicy nie zaczną od niszczenia Armii Krajowej. I choć do końca oczekiwał pomocy od stojących obok Rosjan i marzył o niej w półśnie, to jednak nie był pewny, czy ta, tak bardzo oczekiwana pomoc nie przyniesie nowego uderzenia.

Nie wiem, skąd żołnierz dobywał sił, by walczyć bez wiary w zwycięstwo. Nie wiem, skąd ludność cywilna, tracąc dobytek całych pokoleń dobywała męstwa, by dostrzymać mu kroku swą postawą i dzielić się z nim resztą stawy. Może to duch Warszawy oświadczył i żołnierzem-powstańcem i ludnością cywilną. Duch Warszawy z sierpnia 1920, września 1939, i z długich lat terroru niemieckiego, przyciągający wobec salw zbiorowych kaźni ulicznych, by znowu, za chwilę rozświetlić się więziami kwiatów rzucanych na zboczne krawężniki.

A może ci, co setkami torturowani na Szuca, rozstrzeliwani nocą w ruinach Ghetta, nie nie odslaniając, nikogo nie wydając, twardo, pomimo mąk, patrząc ponad głowami znieprawdzonych i pogardzanych oprawców, odchodząc w inny świat — przekazali swą nieugiętość w dziedzictwie powstańcowi Warszawy. A może tęsknota za wolnością, umiłowanie ziemi ponad wszystko inne tak oświadczył duchem Warszawy, że nie mogła przestać walczyć o swą wolność, a gdy zobaczyła, że własnej wolności już nie zdobędzie, walczyła dla przyszłości, wyrębiając drogę ku niej dla przyszłych pokoleń, i przyszłym pokoleniom zostawiając w dziedzictwie honor.

Walka rozpoczęła się gdy padł rozkaz, i zamarla na rozkaz i na rozkaz szeregi wyszły z Warszawy. Wielu poszło do Ożarowa, wielu wprost przed siebie, do cichych zamglonych jesiennym smutkiem wsi, miast, osiedli. Szli z wysoko podniesioną głową, dumni ze spełnionego obowiązku, okrzepili zmaganiem. Wielu, bardzo wielu zostało wśród dymiących zgłiszcz Warszawy. Ci Warszawy już nie opuszczają, będą jej strzegli wiernie do końca.

Ci co wyszli, szli w szeregach, po raz pierwszy od chwili podjęcia walki w armii podziemnej. Rozlegał się śpiew dawno na ziemiach polskich niesłyszany. Brzmiały coraz głośniejsze pieśni powstańcze i pieśni konspiracyjne, dawne żołnierskie i wciąż powtarzająca się nuta "Warszawianki". Pieśni rzadko śpiewane podczas walk.

Ludność wyległa i stała wzdłuż drogi, a potem wzdłuż torów kolejowych, a szeregi brzmiały pieśnią. Postacie wymizerowane, twarze szare ze zmęczenia, lecz głowy podniesione i wzrok daleko wprzód utkwiony, wzrok jeszcze skamieniały, zacięty, nie z tego świata. Śpiewali nie dla siebie. Śpiewali dla ziemi, z którą się żegnali, dla ludzi, którzy zostawali pod przemocą i terrorem odwiecznego wroga i wobec niewiedomego co zbliżało się do nich ze wschodu.

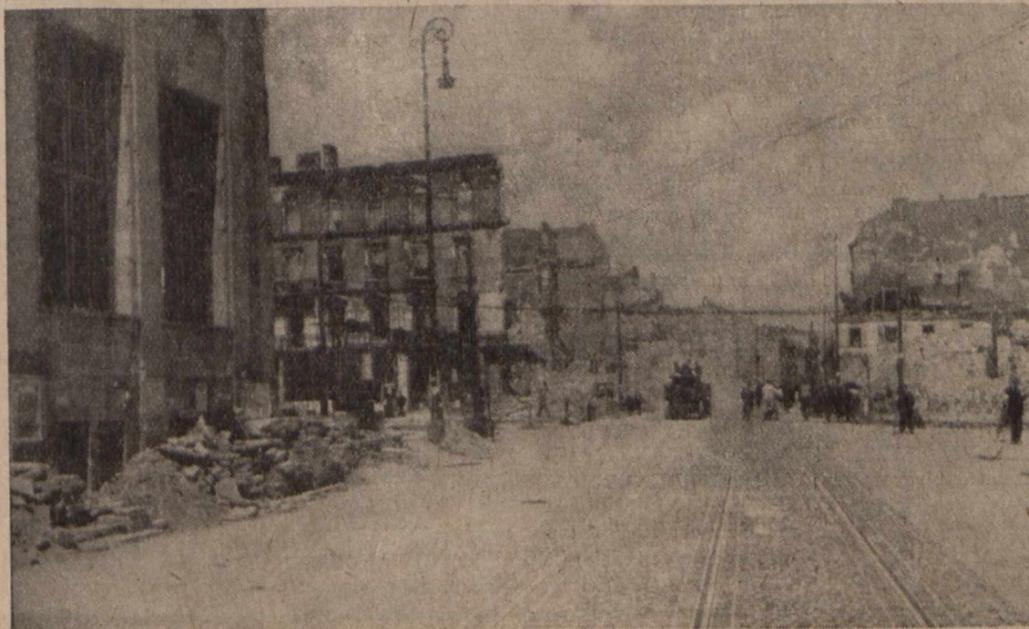
Ludzie stojący wzdłuż torów, aż do samych granic ziemi polskiej, zdejmowali czapki, powstańcy ściśnięci w zamkniętych wagonach, wysuwali przez szpary białoczerwone opaski i śpiewali... Czasem w ukryciu któryś szybko otarł łzę... Trzeba jeszcze zachować tężyznę i twardą postawę, bo droga do Niepodległej jest bardzo daleka.

Musimy przejść tę drogę, bo taki jest w sercach naszych mus, i taka w dloniach zaciętość, i tak wielkie umiłowanie w duszy, że nic nas wstrzymać nie może.

JANINA H. KARASIÓWNA

## Warszawa przed powstaniem i po powstaniu

Skrzyżowanie Alei Jerozolimskiej i Nowego Świata



# Ostatnie dni Warszawy

Walczyliśmy już 55 dni. Czy jeszcze walczyliśmy? Trudno powiedzieć; amunicji nie mamy już przecież prawie wcale. Na placówkach jest rozkaz strzelania jedynie w razie wyraźnego natarcia. Pozostał już tylko bardzo mały skrawek wolnej Warszawy. Centrum miasta jeszcze się trzyma, reszta dzielnic musiała się poddać z braku amunicji i żywności. Na tym ostatnim kawałku Wolnego Kraju stoimy ciągle twardo, chociaż widzimy i orientujemy się w tragicznym położeniu. Nie mamy już nic do stracenia, miasto przestało istnieć. Czy mamy jeszcze coś do uratowania? Czy może mieć znaczenie jeszcze trochę żyć ludzkich?

Sytuacja wszystkich znajdujących się w mieście jest tragiczna. Panuje głód i choroby. Najbardziej szerzy się czerwonka. Nie ma gdzie umieszczać rannych. Wszystkie istniejące jeszcze domy pozajmowane są na szpitale, ale i te przecież są tak samo bombardowane i rozsypane jak domki z kart, grzebiąc w gruzach setki bezbronnych i cierpiących istot ludzkich. Brak wszelkich środków lekarskich. W szpitalach lekarze nie mogą nadążyć z opatrywaniem rannych żołnierzy, a jest jeszcze ludność cywilna, która również ponosi olbrzymie straty.

Sytuacja ludności cywilnej jest najcięższa. My jesteśmy żołnierzami w akcji, jesteśmy czynni, stale w ruchu, walczyliśmy. W tych warunkach podchodzi się inaczej do wszystkiego, nie zwraca się uwagi na głód, wyczerpanie, zupełny brak możliwości jakiegokolwiek wypoczynku. Mamy stały dopping nerwowy, który nas trzyma. Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego jaki szalony jest głód. Konie wszystkie zostały już dawno zjedzone, obecnie pies jest wielkim rarytasem.

Cóż mówić wobec tego o cywilach? Od 7-u tygodni nie opuszczają piwnic. Siedzą w nich jak w żywych grobach z całymi rodzinami, dziećmi i resztkami dobytku. Nie mają możliwości znikąd postarać się o żywność. Wypadki śmierci głodowych są coraz częstsze. Pomimo to z nieprawdopodobną siłą woli i zacięciem trwają na swoich stanowiskach. Po bohaterku znoszą stałe bombardowania. Z jednych zburzonych piwnic przenoszą się do następnych i znowu dalej ciągną swoje makabryczne życie.

Pełnią oni również służbę OPL. Wszystkie bloki są zorganizowane. Jest komendant bloku z drużyną przeciwpożarową, a wszyscy zdolni do służby pełnią dyżury. Pilnują oni porządku; w razie zbombardowania organizują natychmiastową pomoc; stoją przy bramach, tunelach i przekopach, informują o przejściach, które są tak skomplikowane, iż bardzo łatwo jest w nich zablądzić; uprzedzają o niebezpiecznych miejscach, o systemach przeszkakiwania ulic pod ostrzałem.

Beznadziejna walka trwa już jednak bardzo długo i wszyscy dochodzą do punktu szczytowego wyczerpania.

Niemcy proponują, by wypuścić ludność cywilną z miasta. Dnia 1 i 2-go października ogłoszone jest zawieszenie broni, trwające od 8-ej wieczorem każdego dnia. W tym czasie ludność cywilna może wychodzić z miasta. Są wyznaczone drogi wyjścia i punkty zbrojne. Nadchodzi moment ciężkiej decyzji: wyjść, czy też zostać. Wyjść, to znaczy wrócić pod okupację niemiecką. Znowu obozy koncentracyjne, więzienia, zsyłki na roboty. Zostać, to znaczy ginąć w gruzach i ogniu płonącej Warszawy. Są tacy, którzy chcą zostać mimo wszystko; reszta szuka się do wyjścia.

Przychodzi dzień zawieszenia broni. Ludność cywilna opuszcza miasto. Nie zapomnę nigdy tego widoku. Idą. Idą kobiety, mężczyźni, starcy, dzieci, idą w niewiadome — niekończący się kondukt żałobny. Płaczą ciężko i gorzko, płaczą i przez łzy śpiewają "Jeszcze Polska nie zginęła". Tak bardzo ciężko jest im opuszczać to miasto jeszcze ciągle walczące. Zatrzymują się, oglądają się na nas

— na żołnierzy, jeszcze się waha, rzucając ostatnie pytania: "Powiedzcie, co robić, iść czy zostać?" Jaką można dać im radę lub odpowiedź? Więc idą dalej, unosząc na plecach resztki dobytku, a w oczach widok sztandaru polskiego nad miastem i przebrzmiewający odgłos piosenek żołnierskich, śpiewanych przez dziwnych, wymizerowanych ludzi, ubranych w niemieckie drelichy z białoczerwonymi opaskami, którzy się nazywają powstańcami.

Nadchodzi wieczór i kończy się zawieszenie broni. Punktualnie o godz. 8-ej Niemcy rozpoczynają huraganowy ogień na wszystkich odcinkach. Chcą nam zadokumentować, że bitwa trwa dalej. Karabiny maszynowe szczekają bez przerwy, granatniki i ciężka artyleria ostrzeliwiają całe miasto.

Spodziewamy się, że po przygotowaniu artyleryjskim nastąpi natarcie. Czekamy. Prawie nie odpowiadamy ogniem, mając bardzo mało amunicji, czekamy aż Niemcy zaczną nacierać. Rzeczywiście, na szeregach odcinków wychodzą do ataku.

Atakujących Niemców zarzucają granatami. Niemcy nie lubią walki wręcz. Wszystkie natarcia są odparte. Ogień trwa jednak przez całą noc aż do świtu. "Niech sobie strzelają — mówimy — niech marnują amunicję".

Przychodzi drugi dzień zawieszenia broni i znowu widok ludności opuszczającej miasto. Zaczynają nas dochodzić wieści o rzekomo mającej nastąpić kapitulacji miasta. Więc jednak koniec?

Wychodzi rozkaz — kapitulacja Warszawy. Wojsko ma wyjść do niewoli w dniu 4 i 5-go października; zostają tylko Oddziały Bezpieczeństwa, które mają opuścić miasto na samym końcu po ewakuacji szpitali. Cała Armia Krajowa ma wyjść z bronią w ręku, bez amunicji. Zostają wyznaczone trasy wyjścia i punkty, na których ma się odbyć zdanie broni Niemcom. Wychodzą rozkazy i zarządzenia organizacyjne.

Dziwnie teraz wygląda miasto. Nie możemy się przyzwyczaić do panującej ciszy. Przez długich 63 dni byliśmy stale w walce, zaczęliśmy uważać za rzecz normalną ciągły huk eksplozji, loskot walących się domów, huk pożarów. Teraz panuje ciężka przytłaczająca cisza. Dymią jeszcze tylko zgłiszczą, słychać trzask dopalających się domów.

Wszyscy wychodzą na miasto i błądzą po gruzach. Wolno teraz bezkarnie chodzić po wszystkich ulicach. Przez szerokość jezdni widać Niemców spacerujących po swoich placówkach i ciekawie się nam przyglądających.

Musimy rozbiierać barykady, wzdłuż trasy, którą ma przechodzić Armia Krajowa. Tak niedawno jeszcze budowaliśmy te barykady. Iu kolegów, broniąc ich, położyło swe młode życie?

Na ruinach jakiegoś domu stoi żołnierz. Jego chłopięca twarz ma wyraz dziwnej zaciętości. Powoli wyciąga pistolet z kabury, ładuje i strzela w powietrze. Jeden magazynek, potem drugi, trzeci... Nie chce oddać Niemcom amunicji. Jeszcze ma granat "filipinkę" w kieszeni; też trzeba ją zniszczyć. Przez chwilę ogląda go z czułością jak coś bardzo drogiego sercu, potem nagle zdecydowanym ruchem odbezpiecza i rzuca w gruzy. Stoi jeszcze przez chwilę i patrzy. Pewno ma w oczach widok niedawnych walk, pewno widzi siebie w jakimś ataku, na barykadach, rzucającego na niem-

ckie czołgi może te same "filipinki"... Nagle budzi się z odrętwienia, przez chwilę rozgląda dookoła, jakby starając się uprzytomnić rzeczywistość. Wyraz zaciętości znów powraca. Odchodzi z nisko spuszoną głową.

Przygotowujemy się do wyjścia. Czyścimy mundury, przyszywamy odznaki i proporcezki, zakładamy nowe opaski. Chcemy wyglądać możliwie porządnie, jak wojsko, nie jak partyzanci.

Mój pułk ma wyjść 5-ego października. Idę się pożegnać z Matką, która zostaje w mieście. Dziwne jest to pożegnanie. Na jak długo? Może na zawsze... Mam pół godziny czasu, muszę wracać do kompanii. Rozmawiamy z Matką zdawało by się zupełnie spokojnie, żadna z nas nie chce zdradzić, co w tej chwili czuje. Te pół godziny wlecz się w nieskończoność.

Wreszcie nadchodzi moment pożegnania. Słowa trudno przechodzą przez gardło. Co można powiedzieć w takiej chwili? Więc mówimy krótkie "Czołem", szybki w tył zwrot i każda z nas odchodzi w przeciwną stronę. Staram się w ogóle nie myśleć, wracam do kompanii, gdzie przez całą noc trwały przygotowania. Nikt nie śpi. Pakujemy się, zbieramy ekwipunek. Dostajemy porcję chleba i papierosów na drogę.

O 7-ej rano zbiórka kompanii do wymarszu. Dookoła stoi tłum ludności cywilnej. Przyszli nas pożegnać. Ustawiamy się plutonami, wychodzi dowódca kompanii, padają komendy, dowódcy plutonów zdają raport. Dowódca oddziału staje przed frontem i mówi do nas parę krótkich słów — dziękuję nam za służbę.

Widzę wszystko jak przez mgłę. Ludzie na ulicach płaczą. Patrzę ukradkiem na stojącego obok kolegę — dwie wielkie łzy toczą się po jego policzkach. Jak przez mgłę widzę moją Matkę stojącą w tłumie. Coś ścisła za serce i podchodzi pod gardło.

Potem znowu krótkie urywane komendy — ruszamy. Na placu Kazimierza zbiórka batalionu i dalej batalionami idziemy na kierunek placu Kercelego, gdzie ma się odbyć zdanie broni Niemcom. Kolumna rozciąga się przez całe miasto. Ciężki jest marsz. Idziemy po zawałonych gruzami ulicach, mijamy przekopy, resztki barykad, gruz usuwa się spod nóg. Ktoś potyka się, ktoś upada.

Dochodzimy do ostatnich placówek polskich. Po drugiej stronie ulicy stoją niemieckie posterunki. Mijamy je. Idziemy dalej. Prowadzi nas już konwój niemiecki. Jesteśmy jeńcami.

Na placu Kercelego ciężki moment zdania broni. Przechodzimy rzedem przez kordon niemiecki i każdy po kolei oddaje broń. Potem znów dalej przez ul. Wolską.

Wzdłuż naszej kolumny stoją tłumy Niemców przyglądających się ciekawie. Fotografują nas i filmują. Odwracamy głowy. Ludności polskiej nie widać wcale. Idziemy przez dzielnicę prawie wcale niezniszczoną. Nie mogę się przyzwyczaić w pierwszym momencie do widoku całych, stojących domów, do samochodów jeżdżących po niezniszczonej szosie.

10 minut odpoczynku. Wszyscy siadają na trotuarach, rzucają plecaki. Nie wolno nam zbliżyć się do domów, silny konwój niemiecki stoi na środku trotuaru i nie puszcza. Za chwilę rozlega się chrapliwy krzyk "Abmarsch". Podnosimy się powoli, nakładamy plecaki i ruszamy dalej.

Dopiero za miastem spotykamy ludność polską. Czekają na nas, ustawieni wzdłuż szosy. Mają dla nas żywność, ale Niemcy nie pozwalają się nikomu zbliżyć. Rzucają nam więc jabłka, cebulę, pomidory. Pomimo silnej eskorty, kobiety podlatują z koszykami i podają żywność. Niemcy jednak odpychają je brutalnie karabinami.

Na dalszych odcinkach pomoc jest zorganizowana inaczej i — lepiej. Przez środek szosy są porostawiane kosze z cebulą, owocami i chlebem. Przechodząc schylamy się i napełniamy chlebaki. Nie wiadomo przecież, kiedy dostaniemy jeść, a poza tym surowiznie jedliśmy już przeszło dwa miesiące.

Co pewien czas mamy 10-minutowy odpoczynek. Znowu idziemy dalej. Już nie wiem, ile godzin trwa ten marsz. Jesteśmy coraz bardziej zmęczeni. Plecaki nieznośnie ciężkie, pasy wpijają się w ramiona. Liczba maruderów, którzy nie mogą nadążyć, ciągle wzrasta.

Spostrzegam, że po raz pierwszy od dwóch miesięcy patrzę na zielen, łąki, drzewa, kwiaty. Tam, w Warszawie, nawet natura umarła; zostały tylko gruzy, zgłiszczą, pożary. Nad wszystkim unosił się stale tuman pyłu i dymu, który wcisnął się wszędzie, w oczy, w usta... Tu powietrze jest wprost odurzająco świeże i czyste.

Nasza kolumna rozciąga się na przestrzeni paru kilometrów. Idziemy w kompletnym milczeniu. Ludzie stojący wzdłuż szosy też milczą. Jak złowroga jest ta cisza w słoneczny, jesienny dzień...

Jestem bardzo zmęczona, ale krytyczny moment już przeszedł. Teraz idę jak automat. Krótkie postoje, potem znów marsz. Mijają godziny. Wreszcie czoło kolumny dochodzi do Ożarowa. Czy to tu?

Wchodzimy po raz pierwszy za druty. Jakaś dawna fabryka, parę hal. Nie ma żadnej możliwości, żeby wszyscy mogli się pomieścić. Jest tu zgromadzonych około 20 tys. ludzi. Nie ma mowy o znalezieniu kawałka miejsca, żeby móc trochę odpocząć. Ale już teraz nie czuję zmęczenia, właściwie nie czuję nic. Jestem zupełnie oziębiała.

Naokoło drutów pełno ludzi. Pytają się o rodziny, rzucają trochę żywności. Z obozu w Pruszkowie przyjeżdża R.G.O. /Rada Główna Opiekunów/, ale nie mają możliwości udzielenia pomocy takiej masie ludzi. Nie dostajemy nic do jedzenia. Siadamy ściśnięci w kucki wśród najbliższych przyjaciół, zjadamy kromkę chleba i czekamy rana. O spaniu nie ma mowy.

O 9-ej rano Niemcy wszystkich wypędzają na plac. Wychodzi starszy oficer niemiecki i zaczyna tłumaczyć, że jesteśmy jeńcami, że od 10-ej rano zaczną odchodzić transporty do dalszych obozów. Namawia nas bardzo, żeby się zgłosić na cywila. Pojedziemy wtenczas do obozu cywilnego do Pruszkowa i pójdziemy na roboty, które jak zapewniali, nie będą ciężkie. Amatorzy mają się zebrać za pół godziny na wyznaczonym miejscu.

Zgłasza się kilkanaście kobiet i wyjeżdżają samochodem do Pruszkowa. Jednak po godzinie wracają z powrotem. Gdy zobaczyły oboz w Pruszkowie i traktowanie tam ludności cywilnej, powiedziały, że nie chcą się pozbyć praw jeńskich i odesłano je z powrotem do Ożarowa.

Od godziny 10 rano stoimy wszyscy na placu i czekamy na transport. Niemcy przywieźli dla nas jakąś żywność, ale naturalnie nie starczyło nawet dla połowy. Pier-

wsze kompanie zaczynają wychodzić do pociągów. My ciągle jeszcze stoimy i czekamy.

Nasza grupa wychodzi dopiero o 1-ej. Pod silnym konwojem ruszamy na stację. Jeden pociąg stoi już załadowany. Składa się z wagonów towarowych i "więźniarek". Pakują nas po 50 do jednego wagonu i zatraskują drzwi. Robi się zupełnie ciemno. Nie ma wcale okien, tylko dwie wąskie, zakratowane szczeliny. W naszym wagonie są same kobiety, w innych jest towarzystwo mieszane, tak jak wypadło z podziału całej kolumny na 50-ki.

Staramy się jakoś rozlokować. Słomy nie ma, tylko gołe deski. Nie możemy się zupełnie ułożyć. Nie zdobyliśmy jeszcze doświadczenia, przecież to dopiero nasz pierwszy transport, nie jesteśmy dotąd "fachowymi jeńcami". Przed wieczorem dopiero ruszamy ze stacji. W wagonie jest potwornie ciasno. Przez zakratowane szczeliny błyskają światła mijających stacji. Dokąd jedziemy? Wagony trzęsą, podskakują, hucają i trzeszczą. O spaniu znowu nie ma mowy.

Nadchodzi dzień, ale u nas jest prawie tak samo ciemno jak w nocy. Znaczący nożem wydłubywać dziurę w deskach wagonu, żeby wpuścić trochę światła i świeżego powietrza.

Około południa dojeżdżamy do Częstochowy, gdzie jest parogdzinny postój. Wagonów nie otwierają, więc po ścianach wspina się do krat, żeby zobaczyć chociaż kawałek światła. Na stacji czeka R.G.O. z pomocą: dostajemy po porcji chleba i kawałku margaryny. Masa ludzi. Podbiegają do wagonów i podają żywność. Niemcy jednak, kopiąc i bijąc odpędzają wszystkich.

W naszym wagonie jest tak wąskie okienko, że przez kraty nie może przejść nawet mała butelka, a woda jest na wagę złota. Nie mamy nic do picia już od dwóch dni i pragnienie jest strasznie męczące. Wagonu pilnuje starszy Niemiec o troszkę bardziej ludzkim sercu, więc wbrew przepisom uchyla nam szparę w drzwiach wagonu.

Zaczynają wypuszczać kolejno wagony do ubikacji. Gdy jeden wagon wróci, idzie następny. Trwa to strasznie długo. Czekamy na naszą kolejkę. Jednak nie mamy szczęścia, wypuścili ostatni wagon przed nami i już nie wolno. Ruszamy dalej. Znowu wagony zaczynają zgrzytać i skrzypieć. Pociąg wlecz się niemilosierdzie.

W nocy stoimy na bocznicy w Opolu. Jest alarm lotniczy i zaczyna się bombardowanie. Przez okienko widzimy zawieszoną w powietrzu rakietę oświetlającą miasto. Jest nam zupełnie obojętne, czy nas zbombardują czy nie. Wszystko huczy dookoła, a my śpiewamy. Po paru godzinach alarm się kończy.

Rano przyjeżdżamy na miejsce. Otwierają wagony, każą wysiadać ustawiać się piątkami. Przeliczają wszystkich, setka za setką odmaszerowujemy do obozu. Jesteśmy bardzo zmęczeni, wyczerpani i głodni. Nogi są jakosdzienne miękkie w kolanach a plecaki wydają się jeszcze cięższe. Dowiadujemy się, że do obozu trzeba iść 15 km. Upał jest szalony. Nasze gumowe niemieckie płaszcze po prostu parzą.

Do obozu dochodzimy na ostatnich nogach. Za drutami stoją chłopcy z pierwszego transportu. Stoją wszyscy przy drutach i entuzjastycznie nas witają. Widzę chłopców z naszej kompanii, słyszę jak krzyczą "Niech żyje Warszawianka" /kryptonim kompanii/. Zapominamy nagle o zmęczeniu i w kraczowym wyczerpaniu wszyscy się prostują. Pada komenda: "pokryć, wyrównać — raz, dwa, trzy, cztery — lewa", i mocnym, równym krokiem defluujemy wzdłuż drutów. Ktoś intonuje nasz hymn powstańczy — "Warszawiankę".

Rozbrzmiewa ona dziesięciu tyśiącami głosów, zagłusza krzyki żandarmów i leci mocnym, twardym echem przez niemiecką ziemię.

## ZWIĄZEK DZIENNIKARZY R.P.

urządza dnia 12 października o godz. 6,15 wiecz. w sali Alliance Hall, Palmer Street, S.W.1 /naprzeciw zachodniego wyjścia z stacji kolejki podziemnej St. James's Park, obok Caxton Hall/

## Wieczór poświęcony Powstaniu Warszawskiemu

Wzmacnia w nim udział uczestnicy Powstania: HANNA HRYNIEWIECKA /"MARYNA"/, STANISŁAW JANKOWSKI, ZBIGNIEW JASIŃSKI /"RUDY"/, BOHDAN KWIATKOWSKI /"LEWAR"/, JAN NOWAK, JÓZEF WIECKOWSKI

oraz następujący mówcy: WACŁAW BRUNER, JÓZEF KISIELEWSKI, JERZY LERSKI-JUR, ANDRZEJ POMIAN, STANISŁAW STRONSKI, TYMON TERLECKI

wiersze z okresu Powstania odczyta: TOLA KORIAN

przewodniczyć będzie: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Wstęp 2/6 /dla szeregowych w mundurze 1/-/

# Goniec podziemia



**MIROSLAW WOJTYSIAK** ma teraz 13 lat. Przed rokiem został odznaczony Krzyżem Walecznych za odważne pełnienie obowiązków gońca w Powstaniu Warszawskim. Po upadku Powstania był jeńcem wojennym w jednym z obozów w Niemczech. W maju r.b. udał się do Wilhelmshaven, aby zobaczyć polski okręt, który wówczas zawinął do tego portu. Był to O.R.P. "Conrad". Ówczesny dowódca krążownika zain-

teresował się losem chłopca i postanowił zabrać go do Anglii. Stąd pochodzi marynarski strój Mirka. Spędził lato na koloniach harcerskich pod Edynburgiem, a obecnie przebywa w szkole angielskiej /Atholl School, Rayners Lane, Pinner, Middlesex/, którą opłacił mu drugi lekarz O.R.P. "Conrad". Po nauczaniu się angielskiego pójdzie do Gimnazjum Morskiego, gdzie ma już zarezerwowane miejsce.

Copyright by J. Laskowski  
London, 1945

Zejście do kanału nie było daleko. Kilka kroków — i już!

Mirek wyskoczył z bramy, przebiegł przez chodnik i już schodził w otwór, kiedy leżący na Placu Trzech Krzyży Niemcy posłali chłopcu kilka pocisków, które gwizdnęły mu koło uszu i poleciały dalej, wyszukując w Alejach Ujazdowskich inne cele.

—Wielka mi rzecz! — pomyślał. Już tylą razy pociski gwizdały mu koło uszu. Niedalek zresztą, jak onegdaj zniosły mu furazerkę z głowy, kiedy musiał przeskoczyć pod barykadą na drugą stronę ulicy. A szkoda tej furazerki. Taka ładna była — lotnicza.

Tuż nad głową przebiegł przeciągły gwizd.

—Odczep się! — bąknął Mirek, opędzając się ręką. Mały goniec powstańczy nie bał się kul. O wiele bardziej bał się zaduchu kanałów, po których krążył od tygodnia, przenosząc meldunki i rozkazy. Chodził przeważnie z Alei Ujazdowskich na Powiśle i Czerniaków.

Myśl zajęta była w tej chwili jedynie przypomnianiem trudnej drogi, którą po raz pierwszy miał odbyć sam. Dotychczas chadzał tędy z przewodnikiem, który znał każdy kąt i wiedział z góry, gdzie kanał jest głębszy, a gdzie węższy. Ostatnio chodzili tędy nawet w całych kolumnach, przenosząc amunicję na Powiśle. Wówczas czuł się całkiem rażno.

Teraz idzie sam. Już otoczyła go ta ciemność nieznośna. I zaduch. Boże! jaki straszliwy zaduch!

Nogi grzęzną w lepkiem błocie i stąpać trzeba ostrożnie, trzymając się jak najbliżej ścian. Kanał jest tutaj dostatecznie szeroki i wysoki, aby Mirek mógł iść, nie chyląc się. Środkiem przepływa rynsztok, którym ściekają ku Wisłę wszelkie nieczystości warszawskie.

Kiedy szedł tędy po raz pierwszy, pośliznął się i wpadł do środka. Ale zorientował się natychmiast i nawet nie próbował gruntuwać. Podobno — tak mówił przewodnik — głębokość w tym miejscu była spora: cuchnąca maź sięgała do piersi dorosłego mężczyzny.

—Ze też nie urosłem wyższy!

wdechu żołądek kurczył się i rozprężał, zmuszając chłopca do zatrzymywania się, aby przeczekać krytyczną chwilę i zwalczyć nadchodzące wymioty niezawodną bronią woli.

Kroplisty pot spływał mu na oczy, zalzawione od wyziewów kloaki i od tego słonego potu.

—Zebyż go można była zetrzeć! Ale nie było można, bo Mirek dopiero przed chwilą podpierał się rękami, są zawałane tym samym śmierdzącym kałem, ściekami i brudem, który wydaje ten straszliwy fetor. Niechże spróbuje zetrzeć pot z czoła... Wymaże sobie całą twarz i napewno zwymiotuje. A to ostatek.

Jakże śmieszna wydała mu się chwila, którą często przypominał sobie w kanałach, wcale nie będąc pewien, czy istniała naprawdę w jego życiu.

Mirek gonił wówczas wielkiego, barwnego motyla, biegnąc co tchu po zielono-kwiecistej łące. I upadł, zdzierając sobie naskórek z kolana. Było to jeszcze w domu — na gospodarstwie pod I...

Kiedy ojciec zobaczył okrwawione kolano, surowo spojrzął Mirkowi w oczy, udzielając przestrogi:

—Uważaj, Mirku, uważaj, bo z takich ran zakażenie krwi bywa i potem nóżkę ucinają. Jeżeli się skaleczysz, biegnij do domu i proś, żeby ci zaraz zajodynowali ranę.

I zajodynował rozbite kolano.

—Boże, jak to nieznośnie szczy-pało!

Tak bardzo, że "musiał się" rozplakać. Dzisiaj się śmieje, gdy w mrokach warszawskich kanałów przypomina sobie ten drobny szczegół przeszłości, zamglonej tak bardzo, że nie wiadomo, czy istniała naprawdę, czy też pochodzi z jakiejś dobrej i łagodnej bajki.

—Chyba z bajki... bo czy mógłbym biegać po tak pięknej łące? Chyba z bajki... bo czy mógłby ktoś dbać o moją ranę?

—"Zajodynuj ranę!" I to w dodatku ranę od przewrócenia się na łące zielono-kwiecistej, pachnącej świeżo skoszoną trawą!

A teraz? Szczury w kilku miejscach ugryzły w nogę w kloace, pełnej brudów i zarazków. W kloace milionowego miasta.

—Możeby tutaj zajodynować? ... i rozplakać się, bo jodyna szczypie?

—Byłem wtedy dzieckiem — usprawiedliwiał się przed samym sobą — a teraz jestem żołnierzem. No i za dwa tygodnie będę już całkiem dorosły. Za dwa tygodnie skończę dwanaście lat! A to nie byle co. Najważniejsze — to mieć wreszcie te lat dwanaście, bo potem już nie ma żadnej różnicy, czy dwanaście, czy osiemnaście. Tylko ten wzrost... że też nie urosłem wyższy...

W ciemność kloaki wtargnęły nieśmiałe promienie, kładąc się na gestęj mazi cieniem krat ulicznego ścieku.

—Dopiero teraz skręcam ku Książęcej — pomyślał — Bardzo długo szedłem.

Prąd kloaczny zakotłował się przed nim, więc się zatrzymał na chwilę, oświetlając kanał latarką. To szczury dopadły jakiejś zdobyczy i szarpając ją, przewalały się jeden przez drugiego.

—Co to jest — myślał — że tak nie lubię szczurów? Takie samo stworzenie, jak każde inne, a ja nie lubię. Nie dlatego, żebym się bał, ale... brzydzę się... brrr!

—I dodał kroku. Od skrótu na Książęcą zaczynało się ciężkie przejście. Kanał zwał się gwałtownie i już nie było małego chodnika z boku. Trzeba więc było iść środkiem rynsztoka, którym nieczystości spływały ku Wisłę.

Ze wstrętem wszedł na środek. Lepka maź sięgała mu niemal do kolana.

—To jeszcze nie najgorsze — pocieszał się. — Wkrótce będę musiał się człogać.

Brnął przed siebie, starając się nie dopuścić myśli o tym gorszym kawałku drogi. Rozglądał się więc po jednakowo podmokłych ścianach, po cieczy lepkiej, wolno spływającej i szczurach, przebiegających ciągle przez wąską smugę

światła latarki.

—Co za stworzenia! Rzucają się na człowieka tylko wówczas, kiedy pada. Widocznie myślą, że już nie wstanie. Tchórzliwe bestie — tylko na powalonego idą, jak Niemcy!

I chociaż tak się pocieszał, wiedział doskonale, że ledwie zacznie się człogać, szczury zaatakują go tak samo, jak atakowały niemal codziennie podczas ostatniego tygodnia.

W wątlym świetle latarki widać już było to miejsce najgorsze, gdzie rury zwężają się tak, że nawet on przy swoim półtora metra wzrostu musi się człogać. Widzi już to miejsce...

—Dlaczego idę tak wolno? Ale po kilku szybszych krokach, znowu spostrzegł, że idzie bardzo wolno.

—O, jakże mi się nie chce kłaść w tym błocie... Możeby się udało jakoś przejść skulonemu, chociażby do pasa.

Jeden krok, drugi... Nie można.

Położył się, przypominając sobie w mig wszelkie wskazówki instruktora. Łokcie przed siebie! Prawy łokieć i prawa noga — naprzód! Lewy łokieć i lewa noga — wyrównać!

—Dobrze, że nas przeszkolili przed Powstaniem. Zginąłbym w tym kanale, gdybym szedł tędy sam bez żadnej wprawy. A wydawało się, że to tak łatwo.

Z zazdrością wybiegał teraz myślą do dni szkolenia, kiedy znacznie częściej musiał odbywać swoją drogę przyszłego gońca nie pod ziemią, ale ulicami Warszawy. Dobrze to były czasy, chociaż nawet bardziej niebezpieczne. Kiedyś dano mu pistolet, który miał przenieść do Alei Ujazdowskich na Żoliborz. Właściwie było to tylko ćwiczenie. I chociaż wiedział o tym, starał się jak najwcześniej dotrzeć do miejsca przeznaczenia. I właśnie zdarzyła mu się tuż na wstępie taka fatalna przygoda. W tramwaju, do którego wsiadł, Niemcy zarządzili rewizję osobistą pasażerów. I to już na Placu Trzech Krzyży. Zorientował się w mig, że trzeba uciekać, ale Gestapowcy obstawili obie platformy tramwaju.

—Teraz narzekam, że mam mały. A ładnieby wyglądał wówczas, gdybym był wyższy! Ucieczka z tramwaju udała się tylko dzięki wzrostowi: Mirek przysiadłszy się pomiędzy nogami Gestapowców.

—Cóż z tego, że za nim strzelali? Czy to Warszawy nie zna? Szybko skoczył za tramwaj. Zanim Gestapowcy dopadną do okien, będzie już daleko!

Za kościołem św. Aleksandra wpadł, jak strzała we Wspólną. Pokłuczył jeszcze trochę po ulicach Warszawy i już od Marszałkowskiej dotarł tramwajem na Żoliborz.

—Janka wówczas złapali! — przypomniało się. — I pewno zabił...

Wydawało mu się, że szybko zbliża się ku końcowi pierwszego etapu, więc też zadowolony był z siebie i nie zwracał uwagi na coraz ostrzejszy ból łokci i kolana. W pewnej chwili jednak poczuł prąd. Do niedawna spokojna gnójka zaczęła uderzać w chłopca niewielkimi falami, podnosząc straszliwy smród bezpośrednio pod nos.

—Mam pecha dzisiaj! Wiatr wieje od Wisły!

Szerokość kanału wynosiła tu zaledwie 70 cm., a prąd idący od rzeki burzył powierzchnię ścieku, wtrącając z powrotem w rury całą ich zawartość. Wtrącał też i pływaka.

Szczury zniechęcone tym wiatrem i prądem cofnęły się w górę, szukając tam łatwiejszej zdobyczy i Mirek samotnie borykał się z prądem i węższą kanału, dławiąc się od potwornego smrodu. Był już zmęczony. I dlatego musiał coraz częściej nabierać powietrza do płuc. Cóż, kiedy to powietrze było coraz bardziej przesiąknięte straszliwym fetorem?

—Prawy łokieć i prawa noga — naprzód! Lewy łokieć i lewa noga — wyrównać! — powtarzał wyuczone komendy przewodnika,

aby sobie dodać siły i nie myśleć o niczym, oprócz mozolnej drogi.

—Trzeba iść prędzej, bo rozkaz może być ważny i pilny, a w tym tempie nie zdąży dostarczyć go dzisiaj na Powiśle. Ze też rozkazy zawsze są pilne. I zawsze trzeba się śpieszyć. A ja już nie mogę...

—Lewa noga i lewy łokieć — wyrównać! Prawy łokieć i prawa noga — naprzód!

Jak strasznie wąski jest ten kanał! Niech licho porwie inżyniera, który go zbudował! Ani rusz nie można się zmieścić — za każdym ruchem ocieram się o brzegi. Już mam napewno poszarpane ubranie... a innego nie dostanę nigdzie...

—Lewy łokieć i lewa noga — wyrównać! Prawy łokieć i prawa noga — naprzód!

Kanał powoli zaczął się rozszerzać. Mirkowi wydało się, że oddech łapie nieco chłodniejsze i czystsze powietrze, więc odetchnął kilkakrotnie — na zapas — ale już nie wstawał, chociaż mógłby tu zmieścić się na stojąco. Człogał się dalej, obiecując sobie w myślach, że się podciągnie pod wylot, zanim doliczy do dziesięciu.

—Raz... Ale prawy łokieć i prawa noga przesunęły się zaledwie o kilka centymetrów.

—Dwa... Lewa noga zdrętwiała już nie mogła wyrównać.

—Trzy... padło ze znacznym opóźnieniem, a "cztery" już nie padło wcale. Zrezygnował z liczenia. Włókł się wolno — ostatkiem sił.

Z góry przez otwarty wylot sączyła się struga orzeźwiającego, zimnego powietrza.

—Dlaczego światło nie wpada do kanału? — Podniósł głowę: na dworze panowała noc. — Jakże dziś długo szedłem! Już wieczór. A wyszedłem zaraz po czwartej.

Powoli wyciągał się z kanału. I ledwie znalazł się na ulicy, usiadł, niezdolny zrobić ani jednego kroku więcej. Niezdolny nawet do usłyszenia ciszy, rozpostartej nad miastem wespół z lunami pożarów.

—Posiedzę tu! Chociażby tylko godzinę... odpocznę! Tu swoi. Niemców nie ma.

Pod wygwieżdżonym niebem marzyło mu się wielkie kino. Nie takie, jakie mieli na tajnych kompletach szkolnych w Warszawie, ale prawdziwe, wielkie kino, jakiego nigdy w życiu nie widział. Z opowiadania wiedział jednak, że jest tam duży ekran i że rozstawione są wielkie, wygodne fotele tak, iż nikt się nie tłoczy i z każdego miejsca wszystko doskonale widać. Kino! — Wielkie kino! Takie, jak te, do których wolno chodzić Niemcom.

Cała sala zapelniona jest ludźmi, wpatrzonymi w przepiękny obraz: z lasu wybiega Mirek na zielono-kwiecistą łąkę. Taką samą, jak ta, którą mieli w własnym gospodarstwie pod I... I biegnie ku widowni...

Nagle obraz się zmienia: wśród mokrych ścian kanału człoga się jakiś mały chłopiec... Przecież to on sam: Mirek. Szczury go atakują, ale nie zwraca na nie uwagi. Śpieszy się, śpieszy się, aby jak najprędzej przynieść ważny rozkaz. Od tego rozkazu zależy wszystko. Pot spływa na oczy gońca, rynsztok pogłębia się coraz bardziej, więc chłopiec płynie, roztrącając zamazystymi ruchami rąk gęstą maź warszawskiej kloaki.

Cała widownia wpatruje się weń a zapartym tchem. Zdąży, czy nie zdąży? Musi zdążyć!

—Chodź do nas na punkt. Tam odpoczniesz! — słyszy jakiś głos nad sobą.

Ciężkie powieki nie chcą się podnieść.

—Chodź do nas na punkt. Tam odpoczniesz i pójdziesz dalej.

I jakiś żołnierz bierze go pod rękę, pomagając mu wstać.

—Nie dotykaj mnie! Ja idę z kanału...

—Chodź chłopcze, odpoczniesz...

—Nie mogę, muszę iść...

I Mirek ciężko wstał, przeciągnął się kilkakrotnie i zniknął w otwartym wylocie kanału.

## AKT TRZECI

Do jedynego zamieszkałego pokoju w willi Swidrzyńskich, wchodzi Urszula i Krygier z kapeluszem w ręku. Zamiat dyktę w dolnych ramach widnieją szyby. Krygier przystaje i rozgląda się ni to z nabożeństwem, ni to z odcieniem żalu. W ogóle jest to raczej nieogojca się, otwarta rana, niż człowiek lub folksdeutsch.

KRYGIER: To pani tu mieszka?

URSZULA: Tak, razem z dziadkiem.

KRYGIER: A w innych pokojach?

URSZULA: Kiedy pada deszcz, to są kaluże na podłodze.

KRYGIER: Dlaczego pani nie powiedziała?

URSZULA: Panu? a po co? ... Zresztą są większe nieszczęścia.

KRYGIER /z dreszczem współczucia/: Na przykład? Jakiej?

URSZULA: Nie wiem, jak to panu wytłumaczę ... Czy pan w czasie wojny nic nie stracił?

KRYGIER: Ja? dzięki Bogu, nie.

URSZULA: Nawet ojczyzny?

KRYGIER: Oo! To nieładnie z pani strony ... /podchodząc do okna/ Nie! drugą ramę i oberlufty pozwoli pani, ale każę oszklić. Przysięgę człowieka.

URSZULA: Na miłość Boską, niech już pan nikogo więcej nie przysyła.

KRYGIER: Szklarza! katolika!

URSZULA /chłodno/: Pan tego nie robi ... Zresztą, my i tak się w tych dniach zapewne wyprawdzimy.

KRYGIER: Państwo nie będą tu mieszkać?

URSZULA: Może ...

KRYGIER /ochłonawszy/: Wyluczono! Mam ostatnimi czasy tak wyostzone nerwy, że wyczuwam z góry co ma być. /Dość dwuznacznie/: My ... musimy ... żyć w pobliżu siebie ... Przeszedłem właśnie, żeby coś pani powiedzieć.

URSZULA: Słucham.

KRYGIER /nagle/: Nie!

URSZULA /z przykrością/: Co nie?

KRYGIER: Pani nie słucha!

URSZULA: Jakto ja nie słucham?

KRYGIER: Nie wiem ... Cały czas mam takie wrażenie, że jest pani tutaj, a zarazem, że pani tu nie ma ... Czy ktoś ma przyjść?

URSZULA: To się panu tylko wydaje.

KRYGIER: Przepraszam, że ja się tak rozglądam, ale łatwo ulegam cudzym nastroszom. /Spostrzeżę fotografię na pianinie/: O jaki śliczny dworek. Czy to dziadek pani siedzi? No, no, jaki młody! ... A obok? może babcia?

URSZULA: Tak, to moja babka.

KRYGIER /spoglądając naprzemiennie na fotografię, to na obraz, wiszący nad pianiną/: A tak tak, poznaję ... Ile w tym staroświeckiego uroku! ... Szczęśliwie były czasy! Zły się oto w takim dworku, smażyło się konfitury, jeździło się do sąsiadów kuligiem ... Kochało się, wychowało dzieci, wnuków ... aż wreszcie książd proboszcz pochował na wiejskim cmentarzyku.

URSZULA: Moja babka umarła na Syberii.

KRYGIER: O, aż tak daleko? Cóż ją tam zaniósł? Podróżowała?

URSZULA: Na zesłaniu ...

KRYGIER: O! ... to pani jest biedna ... Biedna pani? /Zrażony oschłością Urszuli, zmienia nagle ton, podnosząc wieko pianina/: Pani gra? /Uderzając kilkoma palcami w klawisze, wygrywa parę taktów straussowskiego "Nad modym Dunajem", po czym przymyka wieko./ Może to drażni, że wciąż wspominam Wiedeń?

URSZULA: Nie, dlaczego ...

My do Wiedeńczyków odnosimy się inaczej.

KRYGIER: "Za naszą i waszą wolność", co? hehe! ... /podchodzi do Urszuli tak blisko, że niemal dotyka jej piersi./ Nie spałem dziś całą noc.

URSZULA: Cóż takiego?

KRYGIER: Myślałem o pani ... /Bierze jej rękę./ Panno Urszulo, dlaczego się pani boi? Nie zrobię nic złego! /chwytając ją w pól/ Urszulo!

URSZULA: Żaluję, że pozwoliłam panu przyjąć!

KRYGIER /odskakując/: Pani znowu miała te oczy! Jak można! ... /Opanowawszy odruch niemal mistycznego strachu./ Ale obiecuję, już będę grzeczny. Nie

mogłem wytrzymać. Dziś ja w ogóle jestem trochę taki ...

URSZULA: Pan jest taki już od kilku dni.

KRYGIER: Nie, ale dziś mam, hm, szczególny katzenjammer.

URSZULA: Trochę krwi na sumieniu.

KRYGIER: Krwi? ... Słiwowicy! Wypiliśmy z przyjacielem całą flaszykę. Przyjaciół potem poszedł na dworzec, a ja myślałem, myślałem ...

URSZULA /od niechęcia/: Kiedy to było?

KRYGIER: Wczoraj wieczorem.

URSZULA: A przyjaciel, co? wyjechał?

KRYGIER /zdziwiony/: Tylko na tydzień. Do Krakowa. Bo co?

URSZULA /obojętnie/: Nic.

KRYGIER /ogłędając się/: Czy pani się gdzieś śpieszy, że wciąż patrzy na zegar?

URSZULA: Znowu się panu coś wydaje.

KRYGIER: Może ... To po tej nocy! ... Cały czas myślałem o pani ... /Po wymownej przerwie./ Swoją drogą to straszne mieć w praktycznym ciele sentymentalną miążgę zamiast duszy. Walczę z tym, ale mam ... Na przykład teraz, mówię, a w duszy myślę, przecież ona marznie w tym pokoju, przecież ona w tym pokoju marznie napewno! Wówczas, kiedy ja mam w piwnicy osiem ton węgla. Niech pani weźmie ode mnie choć jedną!

URSZULA: Oczywiście, że nie.

KRYGIER: A od Wilczyńskiego państwo mogli? On napewno jeszcze jest w podwórku. /Idąc ku drzwiom./ Niech pomoże przynieść kilka worków.

URSZULA: Nie! niech pan zostanie!

KRYGIER: Ależ ... za chwilę wrócę. /Chwyta klamkę, Urszula podchodzi do niego i bierze go za ramię./

URSZULA: Przecież miał pan coś opowiedzieć.

KRYGIER /obezwładniony jej dotykiem/: Znowu inna! Pani nie chce, żeby odszedł? dlaczego? /Omdlewając./ Przykro zostaje samej? /Przywiera wargami do jej ręki./ Nie trzeba mnie odtrącać. Taka cudna, cudna! Przecież mogę dla pani wszystko. Nawet zabić!

URSZULA: To zabawne!

KRYGIER: Zabawne? co?

URSZULA: No, że nie powiedział pan na przykład: mogę dla pani kogoś uszczęśliwić, uratować komuś życie. Pan z pańskimi znajomościami mógłby teraz dużo zrobić!

KRYGIER: A pani chce kogoś ratować?

URSZULA /ostroźnie/: Ja tego nie powiedziałam.

KRYGIER: Kogo? ... Bo naprawdę mogę pomóc. Wystarczy napisać kartkę, parę słów — właśnie do przyjaciela ... Ale pani znowu powie, że mam stosunki z Niemcami. Nie mam! Ja się po prostu ich nie boję! Oto tajemnica powodzenia!

URSZULA: Aa! to powodzenie pan jednak ma?

KRYGIER /z gniewem/: Bo jest mi z tym wygodniej. /Nagle rozpina na sobie myśliwską kurtkę i pokazuje niewzruszonej Urszuli swe wyprasowane, schludne ubranko./ Widzi pani, ile lat ma to ubranie? /Urszula ściąga brwi, czujnie spoglądając w kierunku okna./ Pięć! Umiem nosić? A kiedy się nauczyłem? Bo był czas, kiedy nie miałem na obiad, kiedy żadna kobieta nie chciała na mnie spojrzeć, kiedy musiałem sobie sam pracować! Dalem sobie wówczas słowo, że to mi się w życiu więcej nie przydarzy. Niech pani zobaczy! /Wyjmując z kamizelki złoty zegarek/: Tego nie miałem! /Wyjmując z innej kieszeni złotą papierosnicę./ Tego też nie miałem!

URSZULA: Któż to pana tak ozłocił?

KRYGIER: Wojna! ... /wskazując mieniący się tęczę pierścionek/: Proszę! Niebieska woda! Nie cytrynowa, broń Boże! ... Ale myśli pani, że to pierścionek? Nic podobnego! To pobytowa zagraniczna wiza! Czy dla bogatego człowieka, który chce ująć z życiem, cztery karaty coś znaczą? Gdyby pani przyszła do mnie, zobaczyłaby oryginały najlepszych

malarzy! Mam obrazy Malczewskiego, Wyspiańskiego, Fala-

ta! ... Mam szkic Matejki! ... I każdy taki obraz był czymś zbawieniem! Uratował komuś życie! /Odsapnąwszy./ Chciałem pani coś bardzo ważnego w związku z tym zaproponować. O, nic przykrego! /Zwodniczo i na swój sposób uwodząco./ Chociaż chodzi o życie.

URSZULA /baczenie/: Czyje?

KRYGIER /znacząco i prawie łubieżnie/: Moje ... pani ...

URSZULA /nie kryjąc rozczarowania/: Aaaa ...

KRYGIER /siada obok na kanapie i akuratnie podciąga do góry zaprasowane nogawki/: Otóż ...

Za pół roku, jeżeli tak pójdzie dalej, będę bardzo bogatym człowiekiem. A mając pieniądze, można będzie uciec, dokąd się tylko człowiekowi zechce. Rozumie pani, co to znaczy? Uciec z tego piekła! Chciałaby pani?

URSZULA: Może chciałabym ...

KRYGIER /przyglądając się jej uważnie, a potem z narastającym rozdrażnieniem/: Znowu!

URSZULA /drgnawszy/: Co się stało?

KRYGIER: Znowu pani jest nieobecna! Co bym dał, żeby wprowadzić panią z tej somnambulicznej pogardy! /Rana, którą personifikował Krygier, nagle zropiała i zaogniła się w sposób niebywały./ No i po co pozwoliła mi pani przyjść? Mężczyzna w ten sposób nie wolno się bawić! Kobieta za to musi płacić!

URSZULA: Aah ... tak?

KRYGIER /wypuszcza z ręki jej dłoń, która opada na kanapę, jak dłoń umarłej/: Rozgrzeją się te marmurowe rączki. Będą nawet namiętne! Czy to z miłości, czy ... czy ...

URSZULA: Czy?

KRYGIER: ... ze strachu! ... /Ze złością./ Już się pani ocknęła? Już nie myśli o dziadku?

URSZULA: O dziadku?

KRYGIER: Bo ja wiem, że to pani o niego była przez cały czas niespokojna!

URSZULA: Rozumiem.

KRYGIER: A czy taką rozmówkę, pani też rozumie? ... Wczoraj wieczorem przyjaciel mój się pyta: "Masz sąsiadów?" — Mam. — "Milych?" — Owszem. Zwłaszcza sąsiadka! ... Podobna się pani ta rozmowa?

URSZULA: O tak ...

KRYGIER: To tylko początek. Potem pyta: "A czy nie wiesz przypadkiem, kto u nich bywa?" — Odpowiedziałem, że to nie trudno. Wystarczy chodzić sobie po ogródku. Wystarczy od czasu do czasu poprosić kogoś, żeby zajął do okna ... Zna pani Adama?

URSZULA /spokojnie/: Jakiego Adama?

KRYGIER: Rudkiewicza?

URSZULA: Nie, nie znam.

KRYGIER: Hm, to dziwne ... a przecież bywa u państwa prawie co dzień. To pani zapewne i Piotra nie zna?

URSZULA: Dlaczego się pan mnie o to pyta?

KRYGIER: ... Też nie? A Skórkiewiczowej? A doktora Erenberga? Wreszcie pani zbłądła! Już się pani boi!

URSZULA /powoli/: Boję się, że zaraz pana uderzę.

KRYGIER: Niech się pani nie waży! Chociaż mieszkanie, zdawało by się, daleko, bo na przedmieściu, ale od waszego domu tylko dwa kroki do Gestapo! ... /Urszula wstaje. Opamiętawszy się, Krygier zrywa się również./ Boże, co ja powiedziałem! Przepraszam! ... /Zabiega z lewej strony./ Proszę mi wybaczyć! ... /Zabiega z prawej./ Jestem patriotą!

URSZULA: O tak, to widać!

KRYGIER: Apolitycznym! ... Zresztą żartowałem! Chciałem tylko panią nastraszyć! O! ... wiem, że pani mi już tego nie przebaczy! Co mam robić, żeby pani zapomniała! ... /Zymając się./ Niech pani na mnie tak nie patrzy! Jak może taka piękna, młoda kobieta mieć taką wstrętą zielen w oczach! Zupełnie jak ta gałązka! ta gałązka! /powtarza to niemal b'ednie./

URSZULA: Gałązka?

KRYGIER: Na której mnie powieszają!

## Noce bez tchu

URSZULA /szybko, i po raz pierwszy z zaciekawieniem/: Kto? Kto pana powiesi?

KRYGIER /jakby ocknąwszy się/: Ale tego nie będzie, nie będzie ... Prawda, że kiedy nasi wrócą, kiedy Wojsko Polskie znowu będzie w Warszawie, pani powie, że tyle chciałem pomóc! Że pomagałem! ... Panno Urszulo, ja jednak nie dogadałem się jeszcze do końca. Chcę zaproponować umowę ... Tylko proszę mnie jeszcze nie wyrzucić. Ostatni raz! Obiecuję pani! O ... dziękuję, dziękuję serdecznie ... To wszystko nerwy! Nie wiem dlaczego, dziś — jak usiadłem na tej kanapie — to jakbym usiadł na zegarowej bombie! Co się u was dziś tutaj dzieje? ... Więc powiem pani całą prawdę. Mój stryj był Austriakiem i nim pozostał. To onłożył na moje utrzymanie ... Dokład pani idzie?

URSZULA /wpatrzona w jeden punkt, idzie w stronę kuchni/s Przepraszam. /Krygier z niepokojem odwraca głowę. Z kuchni wychodzi Swidrzyński; czerwony zawyczaj nos i policzki są zupełnie szare, poza tym wygląda jak zawsze/: Co się stało, dziadku?

SWIDRZYŃSKI: Nie ... nic takiego ... Ja właśnie do pana.

KRYGIER: Do mnie? Czym mogę służyć? Zawsze z miłą chęcią!

URSZULA: Czy już pojechali?

SWIDRZYŃSKI: Jeszcze nie. Pan dobrze umie po niemiecku. Możeby się pan z nimi dogadał?

URSZULA: Niemcy przyszli?

KRYGIER /niemile wstrząśnięty/: Już?

SWIDRZYŃSKI: Zarekwirowali konia.

KRYGIER /z ulgą/: Aaa, tylko to.

URSZULA: A koks?

SWIDRZYŃSKI: Kazali zrzucać z powrotem. Szkoda mi, wie pan tego robotnika. Płacze chłop. Głodne dzieci w domu czekają. Jedyny zarobek mu się trafił, a tu akurat zabierają konia. Chciałem im wytłumaczyć, że pojedzie na godzinę, a potem wróci, ale nie potrafiłem się dogadać.

KRYGIER: A jak nie wróci?

SWIDRZYŃSKI: No to nie wróci. Trzeba mu pomóc, bo naprawdę krzywdą się dzieje. Tylko przedzej.

KRYGIER: Już leć! Jak trzeba biednemu człowiekowi pomóc, to ja pierwszy! /Wychodzi i zaraz wraca z pewną melancholijną i ironiczną dumą, wskazując palcem swą pierś./ Widzi pani! /znika./

SWIDRZYŃSKI /półgłosem/: Na wszelki wypadek zniszcz adresy. /Widząc, że wnuczka w pośpiechu rozpruwa kieszonkę kamizelki i chce połknąć jakąś bibułkę./ Ale co ty robisz? Nie śpiesz się, nie śpiesz się! masz czas! ... /Kłęk i otwiera drzwiczki kaflowego pieca./ Gdzie nafta? Mówiłem, że powinna zawsze tu stać!

URSZULA: Stoi. Z prawej strony.

SWIDRZYŃSKI /zalewa naftą otwór pieca i zapala jakieś papierki/: Więcej ulotek nie masz, tylko tutaj? /W piecu wybucha płomień./

URSZULA: Tylko tutaj.

SWIDRZYŃSKI: Dawaj ... /bierze z jej rąk bibułkę i również wrzuca do pieca./

URSZULA: A co z prasą?

SWIDRZYŃSKI: Na dół przecież teraz zejść nie możemy /Zamyka piec, wstaje i klepie wnuczkę po ramieniu. Teraz jest do takiego stopnia szary, że się wydaje pokryty popiołem. Uśmiecha się bardzo czule./ Urszuleńko! ...

URSZULA: Co?

SWIDRZYŃSKI: Jak zobaczą, co chcieliśmy wywieść — oni zaraz po nas przyjdą.

URSZULA: No to przyjdą. Raz się skończy.

SWIDRZYŃSKI: Chciałbym, żebyś pamiętała: ból ma swoje granice.

URSZULA: Ból?

SWIDRZYŃSKI: Fizyczny. Jak człowiek przetrzyma najwyższy, to potem już nic nie czuje.

URSZULA: Rozumiem.

SWIDRZYŃSKI: Ja to tylko tak mówię, na wszelki wypadek. Bo może się rozejdzie po kościach.

URSZULA: A Górski?

SWIDRZYŃSKI: Co miał robić.

Usiadł na wózku i udaje, że beczy.

URSZULA: Krygier zna nazwiska ...

SWIDRZYŃSKI: Powiedział ci?

URSZULA: I Piotra i Adama ... Mówi, że od naszego domu tylko dwa kroki do Gestapo.

SWIDRZYŃSKI: Aa! /przysłuchują się./

URSZULA: Dziadku?

SWIDRZYŃSKI: No?

URSZULA: Górskiego zabijają?

SWIDRZYŃSKI: Jak przekonają się na czym siedzi ... no to ...

URSZULA /otwierając okno/: Proszę pana, panie Krygier!

GŁOS KRYGIERA /za oknem/: Jestem, zaraz!

URSZULA: Proszę pana! ... /Za oknem w podwórku ukazują się widoczny do połowy Krygier./

Co tak długo?

KRYGIER: No bo idioci!

URSZULA: Kto?

KRYGIER: Przyszło dwóch wachmistrzów z panzerdiwizjonu. Wolę sto razy mieć do czynienia ze szturmowcami. Przynajmniej można się dogadać. Zakute lby! Mają przewozić piecyki do urzędu i — nic ich nie obchodzi! Żądają paszportu pana.

SWIDRZYŃSKI: Na co im mój paszport?

KRYGIER: Ja osobiście nie radzę dawać. Zgadzą się, żeby chłop za godzinę wrócił, ale chcą gwarancji. Zna pan ten pruski porządek. A pański drab, jak na złość, nie posiada żadnych dokumentów. Moich oni nie chcą.

URSZULA: A pan proponował?

KRYGIER /znacząco/: Propnowałem, proszę pani! Ale durnie! Żądają, żeby tylko polskie nazwisko! ... Ja po przyjacielu radzę. Niech już raz zaborą ten wózek. Co my się mamy do tego mieszać?

SWIDRZYŃSKI /wyjmując z kieszeni paszport/: Oto mój paszport. /podaje go przez okno Krygierowi, który z widoczny w-bolwaniem bierze go do rąk./

KRYGIER: No ... to jak sobie pan życzy ... /wracając się do Urszuli/ ... Wola dziadka! ... /rozkłada ręce w komiczny sposób i znika w podwórku. Przerwa./

SWIDRZYŃSKI: Jak Pan Bóg da, że minie — zaraz się ubierz, pójdiesz do miasta. Powiadomisz naszych.

URSZULA: A ty?

SWIDRZYŃSKI: Ja też pójdę, ale żeby ustalić kontakty Górskiego. Prosił, żeby odszukać jego łącznika. Strasznie daleko mieszka, na drugim końcu miasta.

URSZULA /z westchnieniem/: Coś strasznego, jak się to pechowo układa!

SWIDRZYŃSKI: Nie wiadomo. Babka twoja zawsze mówiła, że jak za dużo pecha, to napewno gdzieś krąży w pobliżu wielkie szczęście.

URSZULA: I na katordze krąży?

SWIDRZYŃSKI /przysłuchując się/: Poczeka! /Podchodzi ku drzwiom na ulicę./ Wyjrzą na ulicę. /Uchyła drzwi./ Nie! jeszcze nie wyjeżdża! /Przymyka drzwi, ale pozostaje we unęce, bo oto w oknie znowu ukazują się tułw Krygiera. Tym razem twarz jego wyraża zadowolenie. Ręce trzyma za plecami, jakgdyby coś tam chował./

KRYGIER: Zalatwione! Może pani być spokojna!

URSZULA: Ale dlaczego jeszcze nie pojechał?

KRYGIER: Zawadził wyjeżdżając o bramę. Wszedł w porządku. /Powniej i ciszej./ Ale to tylko dla pani!

URSZULA: Szkoda, że tylko dla mnie.

KRYGIER: Pani znowu nie ta sama! Proszę powiedzieć panu Swidrzyńskiemu, że paszport natychmiast odeślą przez tego robotnika. /Blagającym wzrokiem patrząc na nią/: Jak panią przekonać, że jest pani w błędzie? Musimy się zobaczyć! Kiedy? Jutro? Z rana?

URSZULA /jak zwykle nieuchwytna/: Może ...

KRYGIER: Dziękuję! ... /wyjmując zza pleców i podając jej przez okno gałązkę tuł./ A to ... proszę przyjąć na pamiątkę ... /W uklonach znika w głębi./

URSZULA /zamykając okno/: Zaskarbiam się lajdam! /do dziadka/: No, jak tam?

SWIDRZYŃSKI /wyglądając na ulicę/: Wciąż jeszcze nic. Nie rozumiem, dlaczego nie wyjeżdża.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI



# TOWARZYSZ BRONI



PWSK, PMSK, PLSK



Trzy ochotniczki z PLSK

Pomocnicza Służba Kobiet zorganizowana została — zarówno w Marynarce, jak i w Lotnictwie.

Teren Bliskiego Wschodu od lipca 1942 roku wydatnie zasilil Wielką Brytanię. W tym czasie przerzucona została na teren Wielkiej Brytanii pierwsza grupa ochotniczek. Można było z kolei pomyśleć o Pomocniczej Służbie Kobiet w Marynarce Wojennej, oraz w Lotnictwie.

Rozkaz organizacyjny z 27 stycznia 1942 roku rozszerza zakres pracy pomocniczej kobiet również i na Marynarkę, oraz Lotnictwo. Rozkaz ten wprowadza kobiety do służby w całych Polskich Siłach Zbrojnych.

Późniejsza praktyka wykaże, że najracjonalniejszą zasadą dla Pomocniczej Służby Kobiet jest całkowite dostosowanie organizacji Służby Kobiet do układu organizacyjnego poszczególnych rodzajów Polskich Sił Zbrojnych.

Następny rozkaz organizacyjny z 11 lipca 1944 roku idzie dalej. Określa charakter służby wojskowej kobiet. Zrównuje kobiety całkowicie w prawach z czynną służbą wojskową, wykorzystując je zasadniczo w jednostkach etapowych /to jest niewalczących w polu/. Brane są ponadto pod uwagę fizyczne możliwości kobiet. Zastwierdzono też wówczas stopnie Pomocniczej Służby na tych samych zasadach, co i u mężczyzn. Zaś organizację jednostek dostosowa-

wano ściśle do organizacji danego rodzaju Sił Zbrojnych, z usamodzielnieniem poszczególnych służb kobiecych.

Tak zróżniczkowały się i powstały PWSK, PMSK i PLSK. Obejmują one łącznie ponad 5000 osób, z tym, że na pierwszym miejscu idzie wojsko, a na drugim — lotnictwo.

Każdy rodzaj Pomocniczej Służby Kobiet jest podporządkowany komendantce danej służby. Komendantka PWSK podlega obec-

nie Szeffowi Sztabu Naczelnego Wodza, Komendantka PMSK — Kierownikowi Marynarki Wojennej, a Komendantka PLSK — Dowódcy Lotnictwa.

Pomocnicza Służba Kobiet w Marynarce Wojennej objęła 25 specjalności. W Lotnictwie — 72 specjalności według wzorów brytyjskich.

W chwili obecnej nie ma ani jednego działu Polskich Sił Zbrojnych, gdzieby nie pracowała kobieta polska. Czy to w *battle-dressie* koloru khaki, czy w ciemnym mundurze marynarskim, czy też w niebieskiej bluzie lotnictwa.

Kryptonimy PWSK — PMSK — PLSK nabrały treści. Napelnily je wysokimi wartościami pracy i inteligencji, charakteru i woli Polki na szczeblu swego działania.

Gdy przypomnimy sobie jak to było w Buzulu, w chwili narodzin Pomocniczej Służby Kobiet, skupiającej się przy swych pierwszych zadaniach wśród ciężkiej jesieni i zimy rosyjskiej i zestawimy to z niewątpliwym rozrostem i dorobkiem, jakie dadzą się cyfrowo ująć w roku 1945 — wówczas stanie przed nami organizacyjna praca Polek w wojnie.

Praca to codzienna, szara i mało efektowna. Niemniej ważna i doniosła. Niemniej będącą wyrazem rzetelnego wkładu w całość wojny, w całość wysiłku Sił Zbrojnych.



Komendantka PMSK

## Z miejsc postoju

Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii gen. dyw. Janusz Głuchowski, wydał połączony rozkaz dzienny nr. 83 z dnia 26 września 1945 roku. W rozkazie między innymi czytamy:

*Przeżywalimy i przeżywamy czasy ciężkie, czasy walki nerwów, walki o nasze dusze.*

*Z daleka od Polski musimy czerpać siły jedynie z naszej własnej wiary i przekonania, że będąc tutaj, w szeregach Polskich Sił Zbrojnych, wypełniamy nasz święty żołnierski obowiązek w stosunku do Polski i Narodu, który w nas wierzy, i ufa nam.*

*Odchodząc z tą głęboką wiarą, że swój obowiązek wypełnimy do końca, i życząc Wam, żołnierze, z całego serca, byście doczekali tej radosnej chwili, gdy wracając będziemy ze sztandarami, w zwartych szeregach, do naprawdę niepodległej i wolnej Polski i życząc Wam, byście w Niej byli szczęśliwi.*

W dniach 7 i 16 września 1945 roku rozpoczęły się w Szkocji, w mieście St. Andrews święta żydowskie Jonkipur, Nowego Roku 5706, oraz Sądneho Dnia dla żołnierzy polskich wyznania mojżeszowego.

W świętach uczestniczyli żołnierze-Żydzi wszystkich stopni, broni i służb, z wielkich jednostek oraz centrów wyszkoleniowych na terenie Szkocji, jak również ochotniczki PWSK.

Szeregi żołnierzy polskich wyznania mojżeszowego zwiększyły

się o nowych przybyszów. Jest wśród nich strzelec G., który lat dziesięć ukrywał się w Dortmundzie, oraz starszy strzelec konny Z. z Klecka, uczestnik kampanii wrześniowej, żołnierz 8 Pułku Strzelców Konnych, i przez bezmala lat sześć jeniec niemieckich Stalagów.

W dniu 16 września r.b. święta żydowskie odbyły się w obecności przedstawicieli władz wojskowych, ludności szkockiej, oraz miejscowych współwyznawców-Żydów. Rabin Połowy Dowództwa Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii mjr. Melcer, po kolacji przedpostnej wygłosił przemówienie, kreśląc w nim tragedię dzisiejszego żydostwa, i nawiązując do hebrajskiej nazwy Nowego Roku z błogosławieństwami. Nawiązując do zakończenia wojny, mówił że inne narody radują się, a dla Żydów są to czasy smutku i żaloby. Taką samą tragedię jak naród żydowski, przeżywa i naród polski.

Jako przedstawiciel Dowódcy Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii przemawiał mjr. H. Z okazji świąt depesze nadesłali: Federacja Żydów polskich oraz Dr. Ignacy Szwarcbardt. Oficjalną część święta zakończono odpiewaniem

hebrajskiej pieśni Kol-Nidry.

W oddziałach przeprowadzono tak zwany plebiscyt, wyłączający z szeregów tych, którzy natychmiast, bez względu na istniejące w Polsce warunki — pragną wracać do Kraju. Jak doniosła prasa brytyjska, 30 procent żołnierzy polskich w Szkocji, wyraziło gotowość natychmiastowego powrotu do Kraju. W związku z tym, "Komunikat Prasowy Dla Gazet Ściennych", pisze w numerze 161:

*"My, pozostający nadal w wojsku polskim mamy przed sobą świat otwarty, mamy widoki na szkolenie zawodowe, mamy prawo do wolności myśli, słowa i uczynków. Im po powrocie świat znacznie zamknie i ograniczą wolność. My nadal będziemy mieli przed sobą 10 dróg do wyboru, oni jedną obwarowaną ukazami drogę. Dlatego żal nam odchodzących kolegów. Ale sam żal to mało. Zegnając się z nimi, my, którzy postanowiliśmy o wolność Polski walczyć bronią czy słowem na szerokim świecie — powiadamy: "Opuszczając progi demokracji, na którą przez kilka lat patrzyliście, pamiętajcie, by mimo przesładowań i trudności, starać się ducha jej w Kraju rozpow szechnić, miejcie odwagę krzywdę nazywać krzywdą, a gwałt gwałtem. Może świat was usłyszy, może usłyszyny was my, i głos protestu poniesiemy dalej. Wówczas żadnego z was historia nie będzie mogła nazwać złym Polakiem".*

## Jak Niemcy niszczyli kulturę polską

Gazety raz po raz podają, gdzie i ile nagromadzili Niemcy u siebie, nakradzionego w Polsce mienia kulturalnego.

Jest całkowicie zrozumiałe, że nie wszystkie skarby sztuki i kultury polskiej, wywiezione przez niemieckich barbarzyńców, dadzą się sprowadzić z powrotem. Wiele bezcennych rzeczy zmarniało. Niektóre zabytki będą wymagać troskliwej, naukowej odnowy.

O okradzeniu Kościoła Mariackiego z obrazu Wita Stwosza, wiedzą wszyscy. Faktów rabunku mienia kulturalnego, większych lub mniejszych, jest tyle, że nie sposób ogarnąć ogromu zła, wyrządzonego kulturze polskiej przez Niemców, naród barbarzyński.

Przypomnijmy sobie niektóre fakty z tej właśnie dziedziny.

W Krakowie, pod wytrawnym, złodziejskim okiem Herr Gubernatora Francka, kradziono również i ornaty, słynne krakowskie ornaty o bezcennej wartości historycznej.

Akcja niszczenia podręczników polskich przybrała tak zaciekle rozmiary, że zagładzie uległy nawet książki, służące do nauki rachunków.

Fundacja Potulicka w pobliżu Poznania została zagarnięta i oddana na użytek Niemców. Powstał na jej terenie obóz przejściowy dla wysiedlanej ludności polskiej. W pewnym okresie "stwierdzono",

że dwie setki przebywających w obozie dzieci, oznaczają się "typem nordyckim". Dzieci te odtąd czono od rodziców i wysłano w głąb Rzeszy, ażeby przerobić je na Niemców.

W Bydgoszczy, jak na urągowsko, zaopatrzone cmentarz w napis "Teren dla Polaków". Po pewnym czasie napis usunięto. Podobno przyjeżdżający Niemcy zwrócili hitlerowskiemu władzom uwagę na szkodliwą, z punktu widzenia propagandy, sprzeczność pomiędzy tym napisem, a urzędowym twierdzeniem, że w Bydgoszczy nie ma żywołu polskiego.

Na tak zwanych ziemiach inkorporowanych prześladowano język polski metodami policyjnymi. Na przykład: na Śląsku używanie języka polskiego w miejscach publicznych powodowało aresztowanie i fizyczne represje.

Takie i tym podobne, oraz liczne, bardzo liczne znacznie gorsze uderzenia były kierowane przez Niemców w całość kultury polskiej. Dawalo się to Polakom bardzo dotkliwie we znaki. Ścigano kulturę polską szykanami, poddawano przemysłnej grabieży, traktowano z pogardą i nienawiścią.

Lecz jakaż siła szatańska zdoła wykarcezować z narodu polskiego to, co było w nim, hodowane od dziesięciu stuleci, od zarania jego dziejów?

## Gdyby Hitler zawojował Wielką Brytanię

W dokumentach byłej niemieckiej Kwatery Głównej odnaleziono plan, który Niemcy chcieli zastosować, gdyby w roku 1940 podbili Wielką Brytanię.

Hitler zamierzał dostać się do Anglii w 14 tygodni po Dunkierce. Planował zakończenie całkowitego podboju Wielkiej Brytanii przed dniem 9 września 1940 roku.

Ciężki przemysł brytyjski miał dostarczać Niemcom broni do prowadzenia dalszej wojny. Wszyscy Brytyjczycy, w wieku od lat 17 do 45 mieli być deportowani, a ich miejsce projektowano zapelnąć robotnikami niemieckimi.

Brytyjski środek obiegowy, funt, miał być obniżony do 13 sz-

lingów i 6 pensów. Przebywający w Wielkiej Brytanii żołnierze niemieccy uzyskaliby pierwszeństwo w nabywaniu towarów.

Zasada "non-fraternization" miała być surowo przestrzegana ze względów bezpieczeństwa. Celem zabezpieczenia się przed aktami sabotażu planowano pobrać większą liczbę zakładników.

Ten projekt narzucenia niewoli na Wielką Brytanię nie doszedł do skutku. Po Dunkierce nadeszła nie tylko kapitulacja Francji, ale i Bitwa o Wielką Brytanię. W czasie tej historycznej Bitwy *Luftwaffe* poniosła klęskę, i Niemcy nie czuli się na siłach ryzykowania inwazji tej wyspy.

Szkoła Podchorążych Wojsk Pancernych, mająca swe miejsce postoju w rozległym obozie, pod wieloma względami podobnym do historycznego już obozu Coëtquidan w Bretanii — wydaje ciekawie redagowane pismo, odbijane na powielaczu. Pismo nosi tajemniczy tytuł "Alidada", lecz wbrew zagadce nazwy jest po prostu wyjątkowe, jak na pisma obozowe.

"Alidada" — to pismo prawdziwie podchorążackie. Bogato zdobne rysunkami, z tekstem, dającym wyraz temu zdrowiu moralnemu, jakie zawsze charakteryzowało w Polsce szeregi podchorążych. I to jest tym bardziej godne podkreślenia, że "Alidada" jest organem pierwszej w historii wojska polskiego na tak rotacyjną skalę zorganizowanej Szkoły Podchorążych Wojsk Pancernych.

"Mewa", będąca odbijanym na powielaczu pismem 25 Pomorskiego Baonu Piechoty wyróżniła się ostatnio przedrukami klasyków polskich. W numerze 20 "Mewy" dostrzegamy i Mickiewicza, i Norwida i Książnicę! Brawo, Redakcja "Mewy!"

Dobrze było by, gdyby godny ze wszech miar pochwały pomysł przedruków z dawniejszej poezji i prozy polskiej — objął i inne pisma obozowe w Szkocji, jako znakomity środek dostarczenia czytelnikowi wartościowej lektury na łamach lokalnych organów prasy żołnierskiej.

Ognisko Polskie,  
43, Belgrave Sq. S.W.1  
dnia 31 października,  
w środę, o godz. 6,15 wiecz.  
**TOLA KORIAN**  
disease  
**PIOSENKI TRZECH WIEKÓW**  
XVIII — XIX — XX  
angielskie — francuskie —  
polskie — włoskie  
Akompaniament:  
prof. JERZY MALINIAK  
Wstęp 3/- /dla szeregowych  
w mundurze 1/-/  
Czysty dochód na Polaków  
w Niemczech.

## Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,437

Przesłane przez p. M. White imieniem Suffolk Anglo-Polish Society na pomoc Polakom w Niemczech £5 /pięć funtów/.  
\* \* \*  
10 sh. przesłane przez kpr. Stanisława Madziara z Włoch na książkę Redakcja "Polski Walczącej" przeznaczoną na Polaków w Niemczech.  
\* \* \*  
8 sh. 6d. na Polaków w Niemczech.  
Bezimiennie

W załączeniu przesyłam Money Order Nr. JH. 12708 na kwotę £4.16.3 zebrałą przez szeregowych Sam. Dyonu Art. Plot. C. drogą dobrowolnych składek z życzeniem przekazania tej sumy do P.T. Administracji "Polski Walczącej" na pomoc byłym jeńcom polskim w Niemczech.  
D-ca Sam. Dyonu Art. Plot. C. /—/ J.M.  
\* \* \*

dziesięć funtów, czternaście szylingów i dziewięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.  
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebrałą do tychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,437.11.4 /słownie: tysiąc czterysta trzydzieści siedem funtów, jedenaście szylingów cztery i pół pensa/.

## NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

7 sh. 6d. nieprzyjęte za reperację zegarka przeznaczam na dzieci polskie ze Lwowa.  
F. Godowska  
NA POLAKÓW W ROSJI  
Przesyłam w załączeniu 10sh. na Pomoc Polakom w Rosji.  
M. Strumiński  
KOMUNIKAT  
Związek Handlowców i Administratorów podaje niniejszym do wiadomości, że tymczasowa siedziba Związku znajduje się: 69, Earls Court Sq., S.W.5. FLA 8600.

## Poradnik żołnierski

**Kan W.**  
Obawiam się, że nie będzie Pan na razie mógł wyjechać do Indii. Sprawą połączenia się rodzin wojskowych zainteresowały się Władze brytyjskie, ale nie ukazały się dotychczas żadne zarządzenia dotyczące tej sprawy.  
**Pchor. Ł — B.**  
Przy wyjeździe do zachodniej Europy t.j. Francji, Belgii, Holandii i Niemiec nie wolno wywozić żadnej efektywnej waluty brytyjskiej. Wolno natomiast wywieźć ze sobą równowartość w obcej walucie do wysokości £10. Wioząc ze sobą większą ilość pieniędzy niż zezwala na to normy, narazi się Pan na niebezpieczeństwo konfiskaty i pościągania Pana do odpowiedzialności sądowo-karnej w/g prawa angielskiego i odpowiedzialności służbowej.

**Mjr. G. St.**  
List Pana Majora przekazałem Szefostwu Służby Opieki n/Z Sztabu Gł., który udzieli Panu odpowiedzi na piśmie.

**Sierżant W — l — u.**  
1/ Dodatki rodzinne dla żony i dzieci żołnierzy przebywających poza obrębem szterlingowym w krajach neutralnych mogą być nadal wypłacane.  
Warunek stanowi, że rodzina /żona i dzieci/ jest na wyłącznym utrzymaniu żołnierza /a więc i o-choćniczki/ i nie korzysta z żadnych innych zasiłków z polskich funduszy społecznych, publicznych lub funduszy państw alianckich lub neutralnych /uwzględnia się tutaj również ewentualne otrzymywane wyżywienie i zakwaterowanie w naturze/.

2/ Ponieważ rodzina Pana przebywa w Niemczech i korzysta z bez-

płatnego wyżywienia oraz zakwaterowania ze strony U.N.R.R.R. — nie ma Pan podstawy do ubiegania się o przyznanie dodatku rodzinnego.

**Plut. Zygmunt B.**  
Określenie "bezterminowy urlop" nie może mieć zastosowania w sprawie przedstawionej przez Pana. Z wojska mógłby pan być zwolniony po otrzymaniu kat. "E" i aprobacie wniosku przez władze brytyjskie, które ostatnio zupełnie zahamowały zwalnianie żołnierzy polskich z kat. "E."

"Przeniesiony do rezerwy".  
1/ Leczenie w szpitalu Panu przysługuje jak innym oficerom z tym, że nie będzie Pan musiał płacić stawek za wyżywienie i zakwaterowanie.

2/ Z bezpłatnego zakwaterowania może Pan korzystać tylko w wymienionych w rozkazie garnizonie. Sądzę, że może Pan prosić o wyznaczenie mu miejsca w garnizonie Edinburgh lub gdzieś w pobliżu, gdyż ma Pan podstawy do takiej prośby.

**Mjr. T.**  
Sprawa należności żołnierzy korzystających z długoterminowych urlopów przy ewentualnej demobilizacji została przedstawiona w memoriale do War Office łącznie z szeregiem innych spraw związanych z demobilizacją.

**Sierżant Maksymilian S.**  
Nie widzę śladowości w staraniu się o urlop do Francji dla podjęcia odprawy demobilizacyjnej, ponieważ władze francuskie wstrzymały jakiegokolwiek wypłaty z tego tytułu. Sprawy należności demobilizacyjnych żołnierzy A.P. we Francji są obecnie przedmiotem rokowań z władzami francuskimi przez Polską Misję Wojskową w Paryżu.

## NOWE KSIĄZKI POLSKIE

Nakładem Światowego Związku Polaków z Zagranicy ukazał się ostatnio szereg książek i broszur polskich. Druk tych wydawnictw rozpoczęły się swego czasu w ramach szerokiego planu wydawniczego którego realizacja, zgodnie z postanowieniami Międzyministerialnej Komisji dla Spraw Polaków w Europie podjęta została, celem zaspokojenia potrzeb Polaków "displaced persons" w Europie Zachodniej oraz celem zapobieżenia w książkę polską skupień uchodźczych.

Z szeregu pozycji ukazały się dotychczas: *Kamienie na szaniec* H. Góreckiego, książka z Kraju obrazująca walkę młodzieży polskiej z okupantem niemieckim. *Apel* — opowiadanie krajowe o obozie w Oświęcimiu. *Powstanie styczniowe*, Artura Śliwińskiego. *Pod znakiem rodła*, T. Maykowskiego — praca o Polakach w Rzeszy Niemieckiej. *Polska między dwiema wojnami*, F. Zweiga — praca o położeniu gospodarczym Polski przed wojną. *Wkład Polski do II-jej wojny światowej*, Henryka Piątkowskiego. *Pięć lat walki narodu polskiego pod okupacją niemiecką*, Henryki Weber. *Kryjaki*, J. Wielopolskiej. *Młodość niemiecka*, H. Heinsdorfa.

W najbliższym czasie ukazą się: *Kraków miastem sztuki*, K. Estreichera. *Nie odrazu Kraków zbudowano* — zbiór opowiadań o Krakowie Karola Estreichera. *Szary proch*, M. Rodziewiczówny. *Godny życia*, A. Dygasińskiego. *Cofnięty czas*, M. Czuchnowskiego — wspomnienia z Rosji i Bliskiego Wschodu. *Przygody trójki z Warszawy* Ryszarda Kiersnowskiego — opowiadanie o Polsce dla młodzieży. *Kurant*, A. Bogusławskiego — zbiór poezji. *Informator*, stanowiący przegląd spraw polskich w okresie wojny oraz szereg innych broszur i książek.

## Poszukiwania

Poszukuje się Janiny BURSCHÉ, ur. 1884, wdowy po Edmundzie, profesorze Uniwersytetu Warszawskiego, oraz córki jej, Danuty, ur. 1922, które pracowały w tkalni w Peterswaldau na Dolnym Śląsku, a w marcu 1945 zostały ewakuowane na Zachód. Wiadomości należy kierować do córki, Zofii MARCZEWSKIEJ, pracującej wraz z mężem Edwardem w Grupie Naukowej Wrocławia, Parkowa 18/26, lub też do siostry, Zofii RONDTHALEROWEJ, Warszawska, Saska Kępa, ul. Francuska 12a, m.5.

Maria WENDORFFOWA, Łódź, ul. Dygasińskiego 6, m.37, poszukuje męża Zygmunta Stanisława WENDORFFA, ur. 1888, który w maju 1940 wyjechał z Węgier do Anglii. Jadwiga NAPIÓRKOWSKA, Warszawa, Pl. Grzybowski, poszukuje synów, Jerzego i Bolesława Napiórkowskich, wywiezionych dnia 5.10.1944 do Niemiec.

Zofia KOZARYNOWA, Kraków, Gertrudy 7, m.12, poszukuje córki, Antoniny KOZARYN, która była w niewoli niemieckiej.

Helena KONCZYKOWSKA, Podkowa Leśna koło Warszawy, poszukuje Jerzego KONCZYKOWSKIEGO, syna, który w połowie stycznia 1945 był w niewoli niemieckiej w Aschersleben.

Poszukuje się Jerzego CZUBIŃSKIEGO, ur. 15 marca 1914 w Warszawie.

Poszukuje się generała Albina SKROCZYŃSKIEGO, który miał być w kwietniu 1940 w szpitalu obozowym koło Lipska.

Jan RZEWUSKI, Zakład Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego, Hoża 69, poszukuje Krystyny RZEWUSKIEJ, znajdującej się w niewoli niemieckiej, ostatnio w Bremenvörde.

Julianna NOWICKA, Warszawa, ul. Kalańska 4, poszukuje córki Jadwigi NOWICKIEJ-PIETROW, ur. w 1914, wywiezionej do obozu w Oranienburgu, i syna Ignacego NOWICKIEGO, który ostatnio znajdował się w Oflagu II D Grossborn.

P. Tomasz KORYTKO ma list do odebrania w Redakcji. Proszony o natychmiastowe skomunikowanie się — sprawa pilna.

Mjr. /?/ Michał BALIŃSKI ma w Redakcji wiadomość o siostrze MARI.

Zwolniona z Ravensbrück Irena USAKIEWICZ prosi o wiadomości o mężu poruczniku Marianie USAKIEWICZU /Manhausen/ synu WITOLDZIE /A. K. "Kol."/ i córce Sylwii. Komenda obozów Papenburg 1 No. 62.

KATARZYNA IWANICKA z Zagórskich poszukuje por. ALFREDA WOJTASIA, który pochodzi z RUDNIKA nad Sanem, ostatni adres był P.O. Box 260/75, G.P.O., London, E.C.-.

Otrzymał mi wiadomość od jego żony i córeczki z Polski. Jesliby ktokolwiek wiedział o nim, wiadomości proszę nadesłać na adres: 150, East 7th Street, New York 9, N.Y.

Inż. Stefan BLANKENSTEIN, więzień obozu w Oświęcimiu, poszukiwany przez panią Wandę ŁADNIEWSKĄ, Warszawa, Ministerstwo Oświaty, Aleja Szucha 25/11.

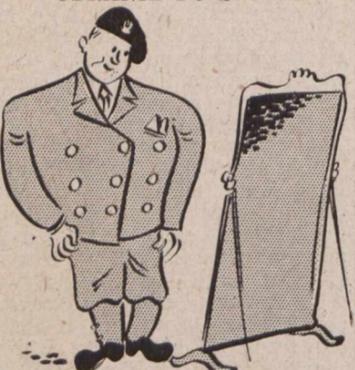
Barbara Anna UKLEJSKA, przebywająca w Niemczech, poszukiwana przez matkę i siostrę w Warszawie, Chmielna 122. Podać wiadomość pod adresem Redakcji.

Marian MANOWSKI ze Skoczowa na Śląsku poszukiwany przez dr. PIETERA w KATOWICACH, Szkolna 9.

# WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT ...

### UBRANIE DO SPÓŁKI



Najpraktyczniejsze trzyczęściowe ubranie dla trzech właścicieli ...

### PO WPROWADZENIU OGRANICZEŃ BENZYNOWYCH



Polska kolumna samochodowa wyrusza na ćwiczenia ...

### WSZYSTKIE DANE

—Wie pan, że pan X. pojechał do Polski?  
—Co pan mówi! który pan X?  
—No ten, który był początkowo w Stronnictwie Narodowym, następnie w P.P.S., później przeszedł do B.B.W.R. i wstąpił do "Ozonu", w Paryżu grał pierwsze skrzypce a w Londynie był szarą eminencją ...

### OBECNA NAUKA JAZDY — Z BRAKU BENZYNY



Szef: — Tylko nie wymijać na skrętach! ...

### FACHOWE ODPOWIEDZI

Pewien człowiek nauki przybył z kraju. Znajomi zarzucają go pytaniami:  
—Czy w Polsce stacjonują jeszcze oddziały sowieckie?  
—Nie znam się na wojsku — nigdy w wojsku nie służyłem ...  
—Czy w Polsce jest prawdziwa wolność i demokracja?  
—Politykiem nigdy nie byłem i nie zajmowałem się polityką ...  
—Czy w Polsce można nabyć wędliny, mięso?  
—Nie wiem. Ja jestem jarošem i mięsne potrawy mnie nie interesują ...

### ŻYCIORYS Z PIĘCIU LAT ...

—Sorry, do jakiej broni pan teraz należy?  
—Do kawalerii. Poprzednio byłem w broni pancernej.  
—Ja pana pamiętam jeszcze w łączności ...  
—Zgadza się. To po wyjściu z żandarmerii.  
—Przypominam sobie pana także ze szpitala.  
—Tak, tak! To z okresu mojej służby sanitarniej, po wcieleniu z brygady spadochronowej.  
—To pan był też spadochroniarzem?  
—Nie chciałem, ale na siłę mnie wpakowali z lotnictwa. Z tych wszystkich broni to najbardziej lubiłem służyć w marynarce — chociaż i w przeciwnolotniczej miałem świetne życie, nie mówiąc już o saperach. Jednak najmiłsze wspomnienia mam z sądownictwa.  
—Pan służył też w korpusie sądowym?  
—Nie odbywałem tylko karę za dezercję z duszpasterstwa ...

### ROZMOWA W KLUBIE

—Wie pani, że stale myślę o jakimś rentowym interesie. Potrzebny mi jest tylko lokal i z dziesięć ładnych, młodych panienek!  
—Wstydyliby się pan!!! Poważny człowiek i tak nisko upada!  
—Uważam, że szwalnia nie przynosi wstydu ...  
—Ach tak, myślałam, że pan chce założyć jakieś biuro ...

### NOWE ŹRÓDŁO DOCHODU

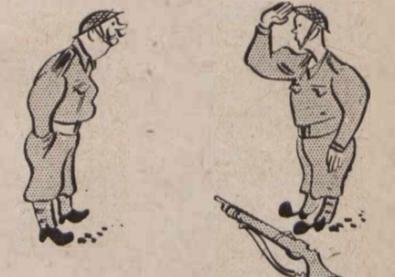
—Słyszałem, że pan utrzymuje korespondencję z krajem ...  
—Tak, codziennie dostaję listy!  
—Pan ma rodzinę w kraju?  
—Nie!  
—To do kogo pan pisze?  
—Do sklepu filatelistycznego. To dobry interes ...

### "HIS MASTER'S VOICE" ...



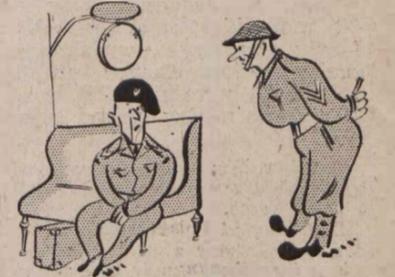
—Dlaczego on tak służy?  
—Zbliża się ósma jak co dzień — czas podawania whisky — więc prosi o "double" ...

### NOWY REKRUT



—Co to ma znaczyć???  
—Pan szef powiedział: "do nogi broń" — więc złożyłem! ...

### Z WIZYTA DO ŻONUSI ...



—Widzę, że pan ma tremę! Zapewniam pana, że na kontynencie — nic złego się panu nie stanie! ...  
—Tak pan sądzi ...  
—Daję gwarancję! ...  
—To pan jeszcze nie zna mojej żony ...

Tekst i rysunki: TONY

### SPIS RZECZY:

Antoni Chruściel /"Monter"/: Konspiracja i powstanie. — Stanisław Stronicki: Z bezdroży bezprawia. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Oświadczenie Sir Patricka Dollana. — Janina H. Karasiówna: Pomimo wszystko. — Halzka: Ostatnie dni Warszawy. — Janusz Laskowski: Goniec podziemia. — Michał Choromański: Noce bez tchu /akt III/. — "Towarzysz Broni". — Zbiórki. — Poradnik żołnierski. — Poszukiwania. — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

### WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-iej — 13-iej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wilekiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz. Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

**HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?**  
**ST. JAMES' BALM**  
ANTIVIRUS OINTMENT  
**DESTROYS GERMS**  
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT  
Send for **FREE SAMPLE**  
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd  
CARGREAVEN ROAD, LONDON, S.E. 28